ROK XII LIPIEC-SIERPIEŃ 1938 NR. 7-8

GŁOS KAPŁAŃSKI

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY
SPRAWOM DUCHOWIEŃSTWA KATOLICKIEGO
Wychodzi pod redakcją Ks. D-ra Eugeniusza Szlenka.

Homilia Ojca Świętego,

na kanonizację św. Andrzeja Boboli.

(A. A. S. Nr 6 z 10. V. 1938 r.)

Czcigodni Bracia, Umiłowani Synowie.

„Ten jest dzień, który uczynił Pan: radujmy się i weselmy się weń!“ [1]). Dzisiaj Chrystus Pan, przezwyciężywszy śmierć, otworzył nam wejście do wieczności; dziś Kościół wojujący uczestniczy obfitszą niż kiedy indziej radością w weselu Kościoła tryumfującego, bo trzech ze swych obywateli, którzy poszli w ślady Boskiego Odkupiciela uznaje nieomylnym wyrokiem za świętych i obdarzonych wieczną szczęśliwością.

W świętych tych urzeczywistniło się zaprawdę to, na co wskazał w mowie swej świętej pamięci Nasz Poprzednik, Leon Wielki: „Dokąd wkroczyła chwała Głowy, tam wzywana jest i nadzieja Ciała“ [2]). Tam bowiem wszyscy zaproszeni i kierowani jesteśmy, dokąd nas Mistrz nasz Chrystus powołał słowem i przykładem swoim, to jest do Ojczyzny niebieskiej, do której należy szczęśliwie dojść, postępując jakoby per aspera ad astra. A że trzeba w tej ziemskiej pielgrzymce zwalczyć i przezwyciężyć wszelkiego rodzaju trudności, jako że „królestwo niebieskie gwałt cierpi“ [3]), a nikt „nie bierze wieńca, ażby się przystojnie

[1]) Ps. 117 w. 24.
[2]) Św. Leon, kazanie I na Wniebowstąpienie Pańskie.
[3]) Mat. XI, 12.

potykał"[4]) oto przejasne przykłady tych, których dzisiaj wolno nam było ozdobić zaszczytem świętości, i nadzieję naszą wzmacniają i zachętą są dla nas oraz pomocą: „Pójdźcie, wstąpmy na górę Pańską"[5]).

Dlatego też godzi się chociażby krótko tylko wspomnieć chwałę ich cnót, abyśmy zapłonęli chęcią naśladowania w miarę sił ich wspaniałych czynów. Do dążenia do chrześcijańskiej pokory, do pogardy rzeczy ziemskich, do dobrowolnego umartwienia ciała zachęca nas wszystkich Salwator ab Horta, który poddawszy wyższym władzom duszy wszelkie poruszenia zmysłów, a samą zaś duszę prawu bożemu, tak obyczajami swymi wyraził wzór Jezusa Chrystusa, że, pociągając za sobą niezliczone tłumy blaskiem swej świętości i cudami, doprowadzał je wszelkimi sposobami do lepszego kierowania się w życiu zasadami zgodnymi z nauką Kościoła. Kto tylko bowiem i z jakiegokolwiek stanu do niego się zbliżył, gdy zobaczył bijący z jego twarzy blask niebiańskiego światła, gdy posłuchał jego płomiennych przemówień i gdy popatrzył na jego gorącą miłość Boga i bliźniego — porywany był niejako do wstępowania w jego święte ślady.

Ten zaś, którego słusznie „łowcą dusz" nazwano, Andrzej Bobola, kapłan Tow. Jezusowego uczy nas gorliwie pracować nad rozszerzeniem Królestwa Bożego, a jako nieugięty męczennik skłania do męstwa gnuśnych ludzi naszych czasów, do podejmowania wszelkich trudów dla Boga i Kościoła według zasady „magna facere et perpeti christianum est". Pojmany w Janowie przez kozaków za to, że odrzucał błędy schizmatyków i z wielkim pożytkiem głosił wiarę katolicką, sieczony batogami, na wzór Jezusa Chrystusa uwieńczony ostrą koroną, ciężko spoliczkowany, leżał poraniony szablą. Wkrótce wyłupiono mu prawe oko, ściągnięto skórę z różnych części ciała i zaczęto okrutnie przypalać rany i rozcierać je szorstkimi wiechciami. Nie dosyć na tym; odcięto mu uszy, nos i wargi, wyciągnięto język z tyłu głowy, wreszcie wbito szydło w serce. O trzeciej po południu dzielny szermierz Chrystusa, przebity szablą, zdobył wieniec męczeństwa, dając podziwu godny widok męstwa.

---

[4]) Por. II Tym. II, 5.
[5]) Mich. IV, 2.

Nie mniejsze przykłady cnót daje nam Jan Leonardi założyciel Zgromadzenia Księży od Matki Bożej. I właśnie, jeśli nie wszyscy możemy albo zobowiązani jesteśmy, ze względu na właściwe dla każdego warunki, naśladować aż do utraty życia duchową dzielność Andrzeja Boboli, to wszyscy jednak możemy starać się dorównać Janowi Leonardi w jego blasku czystości, w jego miłości modlitwy i świętej pokuty, w jego czynnym wysiłku apostolstwa. Jaśniejąc tymi cnotami nie tylko sam dosięgnął najwyższego stopnia chrześcijańskiej doskonałości, lecz nawet i innych bądź błądzących przywiódł na prawą drogę, bądź w wątpliwościach pogrążonych wprowadził do bezpiecznego portu, bądź wreszcie w wielu — przede wszystkim ze stanu duchownego tak rozpalił pobożność i zapał boży, że pogardziwszy wszystkim pragnęli jedynie stać się zwiastunami Ewangelii i wszystkie ludy w cieniu śmierci będące orzeźwić światłem i łaską Jezusa Chrystusa.

Uważamy, że Opatrzność Boża w trzech tych świętych dała Nam znak szczególnej swej łaskawości; oni to bowiem — w tak trudnych i niespokojnych czasach dzisiejszych — zapowiadają Kościołowi nadzieję nowych lepszych czasów. Jeden z nich, ozdoba Polski, w której granicach zdobył sobie palmę męczeństwa, mamy ufność, wyprosi swymi prośbami jedność Wschodu z Zachodem; drugi zjedna Hiszpanii katolickiej — po przywróceniu pokoju i zgody — potężniejszy wzrost życia chrześcijańskiego; trzeci wreszcie będzie się wstawiał za rozwojem Misyj, które sam tak gorąco polecał i popierał.

Niechże więc każdy z nich łaskawie spojrzy na swą ojczyznę i swą opieką sprawi, ażeby po wstrzymaniu powodzi błędów, które niszcząc i podkopując najgłębsze fundamenty Państwa, usiłują zepchnąć narody w dawne barbarzyństwo, poszczególne te narody również w naszych czasach były mocnymi twierdzami religii katolickiej. A podobnież niech spojrzą łaskawie na cały Kościół i wspólną modlitwą u Boga wyjednają, aby pod jego wodzą Kościół wyszedłszy zwycięsko z obecnych burz, nowe święcił tryumfy i wszystkie ludy doprowadził szczęśliwie do jednej owczarni Jezusa Chrystusa. Amen.

U źródeł kapłańskiego optymizmu.

(Dokończenie.)

Po stopniach świątyni jerozolimskiej wstępują dwaj uczniowie Pańscy. Nieszczęśliwy, złożony niemocą, żebrze o jałmużnę. I rzekł mu Piotr: Srebra i złota nie mam, lecz co mam, to tobie daję: W imię Jezusa Nazareńskiego wstań, a chodź (Dz. Ap. 3, 1 - 11).

Co mam, to daję światu złożonemu niemocą, grzęznącemu w odmętach zła. Jako apostoł Chrystusa i pełnomocnik Kościoła, mam w swych rękach nieprzedawnioną prawdę ewangelii i zwycięską moc łaski.

Lecz mieć, i mieć — to wielka różnica. Stopień posiadania tej czy innej idei może się układać w skali bardzo różnorodnej. Można przecież wstąpić nawet na kazalnicę i oświadczać z patosem: Zdaniem Kościoła, według zgodnej nauki Ojców i pisarzy chrześcijańskich — a wewnętrznie układać swe przekonania we wręcz przeciwnym kierunku, a sercem i życiem być zaprzeczeniem głoszonych zasad. Bywają i takie tragedie!

Nasze posługiwanie duszpasterskie da się snadnie porównać z funkcją organizmu oddechowego przy śpiewie: najpierw zaczerpnąć, chwycić strumień powietrza, potem przez odpowiednie ukształtowanie fali głosowej rzucić słowo zachęty lub grom ostrzeżenia. Podobnie w naszych obowiązkach: wchłaniamy tysiączne ludzkie nędze i słabości, bierzemy w siebie różnorodne ludzkie troski i kłopoty.

Zwłaszcza w konfesjonale, tym najniebezpieczniejszym posterunku duchowym, przesuwa się świat zbrodni, zła i użycia. Przesuwa się jak na ekranie filmowym, wabiąc, nęcąc swymi odpryskami.

W trybunale pokuty kapłan urzeczywistnia cud granicy jednocześnie otwartej i zamkniętej.

Zamkniętej przed najlżejszym choćby upodobaniem w samooskarżającej się nieprawości ludzkiej, przed najmniejszym pobłażaniem względem zła, przed wszelką zbyt docześnie pojętą wyrozumiałością. A zarazem otwartej dla każdej łzy rzetelnego wyznania choćby największych zbrodni, otwartej z współczuciem dla każdej niedoli, dla tych rozpaczliwych częstokroć powikłań gnębiących rodziny i jednostki.

Konfesjonał jest tamą, o którą się rozbijają fale zła i nieprawości. Dla fal, które przezeń przejdą staje się filtrem oczyszczającym. Filtrem, w którym kapłan bynajmniej nie jest biernym mechanizmem sakramentalnej absolucji, lecz uważnym sędzią, umiejętnym nauczycielem, lekarzem żywo współczującym. Przy wewnętrznej odrazie do grzechu kapłana obowiązuje życzliwość dla grzesznika, nie sucha, zimna, lecz rozgrzana pobudką nadprzyrodzoną.

Rozmieniając na drobne posiadane skarby, kapłan wewnętrznie winien pozostać zwartym. Z obowiązku tkwiąc w złem, z rozmachu kapłańskiego serca ma być nad zło wyniesiony wysoko, wysoko. Jak dla Chrystusa dobrowolne zniżenie się ku ludziom stało się okazją do promiennej chwały zmartwychwstania, tak i kapłan przy całym zniżaniu się do nędzy ludzkiej osobiście ma wychodzić wzmocniony w dobrym, odrodzony na duchu.

Ideałem rycerskiego ducha w kapłanie może być święty Jerzy w tej charakterystyce, jaką dało znane pióro polskie w „Szaleńcach Bożych".

Do rozprawy ze smokiem złośliwym staje szermierz Boży. Naciera. Zwarł się z bestią spojrzeniem. Lecz, biada. W rozwartych jej źrenicach jawi się czar wartości doczesnych, nęci ułuda rzeczy w duchu wzgardzonych. Chwila... a rycerz dotąd niezłomny czuje, że mu bezwiednie wysuwa się kopia trzymana w dłoni. Jeszcze jedna... a grozi mu zagłada niechybna: I w tej chwili... w źrenicach potwora odbija się ryngraf ze znakiem Chrystusa. Wstrząsnął rycerzem widok krzyża. Przywrócił sprawność oręża. Runął na zdradziecką bestię jak burza, zwycięsko...

Rycerzem wolnym w duchu, wyższym nad wszelkie pokusy winien być kapłan. Czy życie ściele mu się pod stopy uznaniem u ludzi, powodzeniem i zaszczytami, czy też rani je bolesnymi upokorzeniami, niezrozumieniem ze strony przełożonych, nieżyczliwością współbraci, kłopotliwymi niedomaganiami; kapłan prawdziwy w świątyni swego serca jest oderwanym od tego co przemijające, zwróconym ku temu co wiecznotrwałe. Sursum corda! Habemus ad Dominum — oto bojowe zawołanie kapłańskie. Im głębiej ktoś przejmie się tą zasadą i niezłomniej wprowadzi ją w życie, tym skuteczniej będzie oddziaływał na otoczenie, na społeczeństwo. Z osobistego zrozumienia i praktycznego ukochania tajemnicy krzyża, kapłan czerpie twórczą moc budzenia dusz

do wiary, do życia, przelewania w nie pogodnego optymizmu Chrystusa. „Zaprawdę, zaprawdę wam powiadam, kto wierzy we mnie, uczynki, które ja czynię i on czynić będzie i większe nad te czynić będzie“ (J. 14 i 2) — oto niewiarogodne niemal zapewnienie Boskiego Mistrza.

W życiu dobrego kapłana tak częste są chwile krótkich spięć. Obowiązki ponad czas i ponad siły. Raptem zewsząd sypią się nieszczęścia jedno za drugim. Pozostaje sam, nie ma do kogo zwrócić się o radę czy o pomoc. Na domiar złego, to jakieś wewnętrzne niezadowolenie z siebie, przygnębienie; ogołocenie zupełne z tej pociechy, jaką daje światło łaski Bożej, odczuwanie w duszy jej obecności. Duch zatracenia zda się — z dopustu Bożego, wyprawiać harce po zagonach duszpasterskiego sumienia i posługiwania.

Kto stanąwszy nad grobem niespełnionych pragnień szlachetnych, zawiedzionych wysiłków, nieziszczonych nadziei nie wybuchnie buntem przeciw Najwyższemu Majestatowi, nie uniesie się złośliwością przeciwko bliźnim, przeciwnie, opanuje pierwsze odruchy zniechęcenia, ten okazuje prawdziwą wartość duchową. Błogosławiony, kto w najgorszych nawet chwilach z poddaniem religijnym woli Bożej wyciąga ramiona do krzyża. Czynem potwierdził prawdę przepięknej formuły chrześcijańskiego optymizmu: „Tym, którzy Boga miłują, wszystko dopomaga ku dobremu“ (Rzym. 8, 28).

Wyćwiczony wzrok kapłana w najbardziej pogmatwanym splocie klęsk i upokorzeń z łatwością odczytuje dobrotliwe zamiary Ojca, który jest w niebiesiech. Ostatecznie krzepi się myślą, że przeżywane doświadczenie odrywa go od niebezpiecznego upodobania w samym sobie.

Bóg, który w kapłanie chce mieć naczynie wybrane swej myśli i narzędzie uległe swej woli, żąda, by kapłan duchem wiary oceniał wszystkie swe sprawy i obowiązki. W słońcu Bożej szczodrobliwości i w mgłach przeciwności życiowych przez oderwanie od siebie i pogodę wewnętrzną winien w górę szybować, jako te orły w podniebnych przestworzach.

Kapłan obowiązany jest kierować się duchem wiary również względem wrogów Kościoła. Piętnując występek — życzy dobra zbrodniarzowi. Chłoszcząc błędy — pragnie opamiętania dla

przeciwników prawdy. Organizując zebrania protestacyjne, całym żarem, kapłańskiej gorliwości modli się o nawrócenie dla wrogów Kościoła.

Praktykując Pawłowe arguere, increpare, nie wyzbywa się ani na chwilę troski, by jego słowo ustne czy pisemne było przyjęte jako usilne obsecrare. Bez tego jedynego rozszczepienia, jakie jest dopuszczalne i nieodzowne w kapłanie, bez tej istotnej życzliwości dla przeciwników i prześladowców, moglibyśmy zasłużyć na naganę Chrystusa wypowiedzianą w dobrze znanych okolicznościach: „Nie wiecie, czyjego ducha jesteście“ (Łk. 9, 55).

Mam wrażenie, że w żadnym kraju kult św. Jerzego nie był popierany urzędowo w tym stopniu jak w Rosji przedwojennej. Co za nemezis dziejowe, że tam właśnie rozsiadł się potwór komunizmu i bezbożnictwa. Znalazł podglebie, na którym się rozrósł, by czerwienią paszczęki grozić chrześcijaństwu. Nie mam zamiaru roztrząsać wszystkich przyczyn straszliwego zjawiska; nie chcę obciążać odpowiedzialnością czynniki, które za chwilę wymienię. Poprzestaję na zwróceniu uwagi na niektóre schorzałe warstwy rosyjskiego podglebia.

W prawosławiu przedwojennym, gdzie taką czcią darzono św. Jerzego, brak było kapłaństwa owianego duchem wielkiego bojownika idei Chrystusowej. Kapłan tamtejszy nie wychodził poza kadzidlaną atmosferę bezpośredniej służby Bożej, a i tę spełniał często bez zrozumienia dla treści nadprzyrodzonej. Nie doceniał przepowiadania prawdy objawionej i zasad moralnych. Nie przywiązywał wagi do posługi w sakramencie pokuty. Nie pragnął oddziaływania na społeczeństwo. Nie brał w siebie bolączek ziemi rodzinnej, by przeżywszy je w sobie zmaganiem osobistym, stawać na rozstajach dróg jako ten słup ognia objawionego, znaczyć koleje ku bezpiecznej przystani prawdy i dobra.

Dał się ubiec niepowołanym pronokom świeckim. Wszyscy oni począwszy od Kiriejewskiego aż do dzisiejszego Bierdiajewa, szlachetnymi skądinąd kierując się pobudkami, wieścili swym współziomkom oszałamiającą radość zmartwychwstania, nie zobowiązując do surowości krzyża. Głosili zbawienie ludzkości całej, a nie byli w mocy zatroszczyć się skutecznie o uświęcenie jednostki. Zapatrzeni w ostateczny triumf łaski w zmartwychwsta-

niu powszechnym zapoznawali obowiązek przygotowania się doń przez twardy wysiłek w życiu doczesnym.

Tak, jedyna droga do udziału w wielkanocnej chwale Odkupiciela prowadzi przez wielkopiątkowe obumieranie dla świata, przez walkę ze złem i oczyszczanie ciągłe ducha, przez współpracę z łaską, współpracę często monotonną, zawsze żmudną, nieraz bolesną, lecz ostatecznie radość niosącą w imię nadziei, ku której powołani jesteśmy.

Ostrzeżenia wyczytane na kartach bliskiego chrześcijańskiego Wschodu są na czasie. Kościołowi naszemu zawdzięczamy pełną prawdę o szczytności powołania kapłańskiego. Kościół również ma pełne zrozumienie dla właściwego ładu w powierzonych nam obowiązkach: świętość prawdziwa wyrastająca z mądrości nadprzyrodzonej i z wiedzy zdobytej; nade wszystko ołtarz, a potem ambona, która u wielu przyjmuje postać katedry szkolnej, konfesjonał i wreszcie praca społeczna. W rozwijających się szeregach Akcji Katolickiej nasze miejsce zawsze na czele. Przy najdalej posuniętym uświadomieniu religijnym społeczeństwa znajomością rzeczy Bożych nad wiernymi górować. Przy żywiołowym rozwoju ruchu liturgicznego praktykować głęboko, liturgiczne sentire cum Ecclesia. Uprawiajmy szczególnie żarliwie modlitwę osobistą, kochajmy i szanujmy nasze zwyczajowe nabożeństwa. Lecz kapliczki prywatne należy zogniskować i podporządkować wspaniałym liniom architektonicznym świątyni liturgicznej. Modlitwa liturgiczna jest modlitwą samego Chrystusa Pana, w niej ponawia się Jego narodzenie i żywot doczesny, Jego śmierć i chwalebne po prawicy Ojca królowanie. Prawdziwą radością ducha są dla kapłana te kwadranse na służbę ołtarza poświęcone, te godziny brewiarzowej recytacji. Modlitwą liturgiczną jest każde rozgrzeszenie w trybunale pokuty, każdy chrzest małemu pacholęciu udzielony, każde błogosławieństwo, którym szafujemy w imieniu Kościoła. Nie tylko administrowaniem Sakramentu, lecz modlitwą liturgiczną, w której i dla nas pulsuje oczyszczająca krew przelana na krzyżu, promieniuje ożywcza łaska Zmartwychwstałego.

Prośmy gorąco Zbawiciela, by nam dał bohaterskiego ducha świętych męczenników: Pawła — Apostoła, Jerzego — wojownika, Andrzeja — wyznawcy naszej ziemi polskiej. W walce ze złem krzyż Chrystusa niech nam będzie tarczą ochronną i znakiem

bojowym, wiodącym ku zwycięstwu. Moc zmartwychwstania niech nas przeniknie radością pogodną. W głębi naszych kapłańskich serc niechaj rozbrzmiewa zawsze ten przedziwny hymn katolickiego optymizmu:

O, crux ave, spes unica,
Paschale quae fers gaudium!

Ks. A. Pawłowski
Prof. Uniw. S. B.

Katolicyzm i jego wartości.

Katolicyzm jako system prawd religijnych jest jedyną autentyczną formą chrześcijaństwa, przechowującego nienaruszalnie całokształt nauki Chrystusowej i strzegącego jak najwierniej świętych praw Chrystusa. Jako światopogląd, katolicyzm jest przejawem zasad chrześcijańskich w życiu i odbiciem chrystianizmu w kulturze jednostek i społeczeństw.

Katolicyzmu nie można identyfikować pod każdym względem z pierwotnym chrześcijaństwem, bo chociaż istnieje między nimi tożsamość **organiczna**, gdyż tak myślenie jak i działanie katolickie da się zawsze wyprowadzić i tkwi jak gdyby w zarodzie w jednej i tej samej treści nauki Chrystusowej, jednak katolicyzm dzisiejszy — to już olbrzymie, przebogate drzewo, które nie tylko rozwinęło się i ukształtowało w kolei wieków wewnętrznie w swych dogmatach, obyczajach, prawie i kulcie, lecz stało się też wielką potęgą dziejową, przekształcającą świat i życie i wypełniającą je nie tylko treścią szczęścia pozagrobowego, lecz i doczesnym ubłogosławieniem.

„Dziwna rzecz — mówi Montesquieu — religia chrześcijańska, która zda się nie mieć innego celu prócz szczęścia nadziemskiego ugruntowała też i szczęście doczesne“ (Esprit des lois XXIV, 3).

Charakterystyczną cechą katolicyzmu jest element jedności i wyłączności; katolicyzm nie powstał z łona całokształtu religijnej kultury, lecz z ducha i woli jednego i jedynego Syna Boga i Syna człowieczego; jako wyłączne dzieło Chrystusa zajął swe miejsce w centrum ówczesnego wrogiego mu świata i wrogiej kultury. Z apostołami, którym Chrystus przekazał Swe posłan-

nictwo, rozpoczyna się proces rozszerzania się i hierarchicznego ukształtowania katolicyzmu, lecz w ten sposób, że pozostaje pierwotny, istotny typ, z tą samą jednością i wyłącznością, przeciwstawiającą się z całą bezwzględnością rozpraszającym czy rozkładowym wpływom.

Prawdą jest, że niektórzy historycy religii chcą widzieć w katolicyźmie olbrzymi synkretyzm, łączący wszystkie religijne formy, w których ludzkość złożyła swą tęsknotę za Bogiem i swe nadzieje, ale oni dotykają tylko zewnętrznej strony katolicyzmu, włączającego w swój zakres wszystko to, co było prawdziwe, piękne i wzniosłe i w innych religiach; z całą stanowczością jednakże odeprzeć należy twierdzenie jakoby te przybrane elementy były elementami strukturalnymi katolicyzmu w ten sposób, że dopiero przez nie katolicyzm stał się potęgą dziejową. Jest to bowiem najcenniejsza świadomość katolicyzmu, że zawsze był ten sam, wczoraj i dziś i że jego istota daną i oglądaną była w chwili, gdy rozpoczynał swój pochód światowy; że Chrystus sam tchnął w niego życie i On też wyposażył młody organizm Kościoła w zaród tych wszystkich właściwości, które rozwinęły się z biegiem czasu. Katolicyzm tedy nie zna elementów, któreby były dla niego **wewnętrznie** obce i nie pochodziły z jego pierwotnej istoty.

Dwie są w szczególności przyczyny, dla których katolicyzm nie jest dziś tylko kwestią akademicką, ale wzbudza zainteresowanie praktyczne, zaznaczające się zwrotem do ideałów katolickich.

Zewnętrzny powód leży bezsprzecznie w strasznych następstwach wielkiej wojny, w upadku wielkich państw i katastrofach kultury. Mimowoli bowiem kieruje się wzrok w stronę obejmującej świat cały społeczności, która jak z wszystkich burz dziejowych, tak i z okropności wojny światowej, wyszła nienaruszona, nie załamała się i tchnie wieczną młodością. Można rzec śmiało, że przeżywamy dziś to, co o niepożytej sile katolicyzmu pisał wielki historyk angielski Macaulay: „Niema i nie było na świecie dzieła ludzkiej mądrości państwowej, któreby tak zasługiwało na badanie, jak Kościół rzymsko-katolicki. Nie istnieje druga taka instytucja, którаby ducha naszego przenosiła w czasy, gdy z panteonu wznosił się dym ofiar a w amfiteatrze Wespazjana tygrysy i leopardy igrały. Z rodem

papieży porównane choćby najpyszniejsze rody królewskie są jakgdyby wczorajsze... Od tylu wieków istnieje papiestwo, bynajmniej nie w upadku, nie jako zabytek starożytny, ale w pełni życia i młodocianej siły... i nie ma znaku, któryby wskazywał na koniec tego władztwa, które widziało początek rozmaitych państw i kościołów, istniejących dziś w świecie i prawdopodobnie będzie przeżywać ich koniec".

Druga przyczyna jest natury wewnętrznej, pochodzi bowiem z obserwacji siebie samego, z wglądania w własną istotę. Charakterystyczną cechą nowoczesnego człowieka jest wykolejenie, brak podstawy, a raczej oparcia się o byt absolutny. Z chwilą zaś oderwania się od Boga życie straciło nie tylko swój urok, ale i swój wielki cel, a człowiek pozostawiony sam sobie autonomiczny, poczuł się bezradnym i samotnym, zwłaszcza, że brakło mu i wspólnoty, którą tak wybitnie reprezentuje Kościół katolicki.

I nie do innych kościołów czy wyznań zwraca się dziś myśl ludzka, bo nie widzi w nich jedności i stałości, a więc pierwiastku Boskiego, a tym samym nie może ich ciągle zmieniającymi się dogmatami i poglądami zaspokoić tęsknoty do Prawdy i Boga. Wiara Kościoła, właśnie z tego względu, że jest katolicką, jest wszędzie, zawsze u wszystkich wyznawców ta sama, dzieje natomiast herezyj upływają w ciągłych zmianach, rozdwojeniach, sprzecznościach. Katolicyzm jest **wewnętrzną, organiczną jednością,** jednością życiową, która wprawdzie ciągle się rozwija, ale na wszystkich stopniach swego rozwoju tworzy jedność, całość zwartą i niepodzielną.

W perspektywie historycznej katolicyzm ukazuje się jako religia, która przeszła zwycięsko próbę krytyki i próbę czasu; ani olbrzymi postęp nauk, ani odkrycia, ani wynalazki nie zdołały obalić choćby tylko jednej prawdy katolickiej. Owszem, prawdziwy postęp i rzetelne wyniki badań naukowych przyczyniały się zawsze do głębszego umotywowania i ugruntowania chrześcijańskiej prawdy. Bo wiara katolicka jest nie tylko prawdziwą, ale **samą prawdą;** stąd też nie obawia się prawdziwej wiedzy, a przeciwnie najwyższe prawa i zasady prawdziwej umiejętności kryje w swym łonie. I jeśli zadaniem wiedzy jest poznanie rzeczy w jej najgłębszych przyczynach, to te właśnie odsłania nam wiara.

Idea postępu jest specyficznie chrześcijańską, katolicką ideą. Nie znało jej pogaństwo, którego cechą było mechaniczne wprost trwanie w odziedziczonych formach i wyobrażeniach, stagnacja sił; Marek Aureliusz, Seneka, Pliniusz i tylu innych wybitnych jednostek swej epoki, nic nie wiedzą o postępie, a jeśli chodzi o przyszłość, jedynie zwątpieniem karmią współczesnych. Prawda, że idea postępu, reprezentowana przez katolicyzm dotyczy przede wszystkim postępu religijno-moralnego, ale z natury rzeczy musiała opanować i inne dziedziny wiedzy i życia. Bo postęp w zakresie życia zewnętrznego, a więc w ekonomii, przemyśle, handlu i t. d., jest nierozerwalnie złączony z postępem moralnym. Może się komuś zdawać paradoksalnym takie twierdzenie, ale historia cywilizacji dostarczy mu wymownego dowodu; masowa nędza najstarszych cywilizacyj Babilonu i Indyj, upadek Grecji i Romy mimo nadzwyczajnego uzdolnienia ich obywateli i wielkiej mądrości mężów stanu i bogactwa ziem, stanowią odstraszający przykład. Zepsucie moralne sprawiło, że Italia stała się pustynią i grobem starożytnego świata. Każde bowiem pogwałcenie praw porządku moralnego jest równocześnie przeszkodą na drodze rozwoju gospodarczego, bo tak porządek gospodarczy jak i moralny oparte są na jednolitym planie w ten sposób, że ten pierwszy podporządkowany jest drugiemu a pogwałcenie dziedziny duchowej ma swe ujemne echo i mści się równocześnie na dziedzinie gospodarczej.

Cały szereg wieków Kościół katolicki był wyłącznym reprezentantem i protektorem wiedzy. Wszak dzisiejsze jeszcze zakłady nauczania w formie szkół powszechnych, średnich i uniwersytetów, a więc w swych istotnych typach mają swój początek w katolickiej przeszłości; znaną jest rzeczą, ile uwagi, zainteresowania i opieki poświęcili tym szkołom papieże, biskupi, zakony, a każdy historyk, zdający relację z świetności uniwersytetów średniowiecza, nie może pominąć czynników katolickich jako istotnych przy tworzeniu, uposażeniu i prowadzeniu tych wyższych uczelni. Najsłynniejsze dziś uniwersytety angielskie tak pod względem materialnym jak i duchowym spoczywają jeszcze na tych dawnych fundamentach, a założone w XVI i XVII wieku uniwersytety protestanckie powstały z zniesionych dóbr klasztornych, względnie katolickich fundacyj naukowych.

Kościół nie tylko nie był nigdy wrogiem nauki i sztuki, jakim Go chcą widzieć nieraz bezkrytyczni demagogowie, lecz nawet w czasie, gdy był poniekąd „wszechmocnym“, protegował nauki, błogosławił im i był ich pionierem.

I nie z potrzeby, ani dla interesu, księża i zakonnicy pielęgnowali klasyków i przechowywali ich potomności, pisali poematy i kroniki, zakładali ogrody, troszczyli się o budowę dróg i mostów, wyposażali szkoły w najrozmaitsze przywileje; działo się to jedynie z dobrze pojętych socjalnych i humanitarnych względów, a wypływało z zasadniczej idei postępu i pozytywnego ustosunkowania się Kościoła do kultury doczesnej.

Z ducha katolickiego i z łona katolicyzmu wyszli uczeni tej miary co Kopernik, Galilei, Keppler, artyści-malarze Fra Angelico, Leonardo da Vinci, Michel Angelo, filozofowie, poeci, muzycy, co najprzedniejsi, którzy z swej wiary czerpali pobudkę do pracy i badań, a równocześnie natchnienie i pęd ku wyżynom nieskończoności.

Katolicyzm jako pełna prawda odrodził naukę a równocześnie jako piękno najwyższe odrodził i sztukę, i nie był nigdy przeszkodą postępu w naukach, których celem i istotą jest przecież poznanie prawdy. Konflikt między religijnym przekonaniem a wolnością badań może powstać i faktycznie powstawał tylko przy nierzeczowej, polemicznej tendencji nauki lub przy przeczulonym, hiperkonserwatywnym ujęciu pobożności.

W zakresie kultury moralnej i socjalnej katolicyzm ma również swą chlubną kartę w dziejach. I tu może jeszcze więcej niźli w zakresie wiedzy ukazuje się jego boski charakter, gdyż obejmuje i odradza człowieka w jego najgłębszych podstawach. Katolicyzm odkrył i pokazał człowiekowi jego właściwą naturę a równocześnie wskazał cel i drogę moralnej doskonałości, równie daleką od jednostronnego idealizmu jak i od poniżającego godność człowieka eudemonizmu. Do naturalnych motywów dołączył o wiele wyższe i potężniejsze motywy nadnaturalne i wlał nowe siły do realizacji doskonałości, której fundamentem i ideałem jest sam Chrystus. Przykład Chrystusa zapalał, Chrystus był duszą i mocą tego wszystkiego, co wielkie i wzniosłe było w katolicyźmie. Świat rzymski chwalił ongiś Scypiona za jego wstrzemięźliwość, ale ta pochwała raczej jest hańbą dla narodu rzymskiego, skoro to, co czynił Scypio, jest codziennym, zwyczajnym

obowiązkiem chrześcijanina. Naśladowanie Chrystusa stworzyło też bohaterów cnoty, wielkich świętych, którzy nie tylko spełniali to, co nakazywał obowiązek, ale w codziennej ofierze i zaparciu się szli na wyżyny heroicznej doskonałości. Każdy wiek, każda generacja, każdy zawód i stan ma tu swych przedstawicieli; liczba oficjalnie ogłoszonych świętych idzie w tysiące, a obok nich stoją miliony, którzy w ukryciu życie pędząc, czynami swymi świadczyli o mocy i wartości wyznawanej wiary i opartego na niej światopoglądu.

Stanowisko katolika wobec problemów socjalnych i charytatywnych nie jest zależne od indywidualnego sumienia, ale jako przykazanie Boże tworzy składową część katolicyzmu. Kościół katolicki nie mógł i nie chciał nigdy rozwiązywać przeciwieństw między bogatym a ubogim na sposób ogólnego wyrównania. Jego środkami były: opieka społeczna i miłość bliźniego. Tymi zasadami kierował się zawsze w ciągu swych dziejów, a rzut oka w przeszłość wskazuje na znamienny fakt, że obok wspaniałych katedr, kościołów powstawały zawsze szpitale (hotel de Dieu), ochronki, przytułki, które naprawdę są perłami w koronie katolickiej pracy dla kultury. I tak być musiało, bo według zasad nauki katolickiej, wiara sama nie usprawiedliwia i o tyle ma wartość, o ile znajdzie swe zastosowanie w miłości. Wogóle opieka nad ubogimi i chorymi, tak obca pogaństwu, była dziełem katolicyzmu. Kościół od samego początku zajął się biednymi, wdowami, sierotami, tak, że słusznie powiedziano, że ten, kto chciałby pisać historię miłosierdzia, mimowoli napisze historię Kościoła.

Nie z pobudek egoistycznych, dla interesu względnie chwały ziemskiej, przodował Kościół katolicki w dziele kultury ludzkości; przyczyna leży raczej w pozytywnej religijnej treści katolicyzmu: w ideale doskonałości i w wielkim przykazaniu miłości Boga i bliźniego. Fakt, że katolicyzm może poszczycić się takimi sukcesami w odrodzeniu jednostki i społeczeństw, że jako czynnik kultury spełnił jak najlepiej swe zadanie, jest równocześnie dowodem, że jego treść religijna jest niezbitą prawdą, która nie tylko kieruje ludzkość ku lepszej przyszłości, ale ma w sobie moc i siłę kształtowania stosunków ludzkich, panowania nad światem, a zatem nie w ludzkim, jeno w boskim źródle ma swój początek.

Poprzez dzisiejszą kulturę, zewnętrznie bogatą i błyszczącą, idzie powiew pesymizmu, znużenia a przy tym ogólnie słyszy się skargi na brak ideałów. Zasadniczym bowiem błędem nowoczesnej ludzkości jest materialne i mechaniczne ujmowanie świata, kierowanie się jedynie względami pożyteczności, zysku i użycia. W krajach kulturalnych powstały — jak mówi jeden z wybitnych uczonych — „wyspy bezduszności“, owiane zimnym materializmem, gdzie człowiek nie jest już dla drugiego towarzyszem życia, lecz tylko interesantem czy klientem. Więcej duszy, więcej radości, więcej idealizmu — tak woła i o to upomina się nowoczesny człowiek, ale kultura materialna tej tęsknoty zaspokoić nie może. Katolicyzm natomiast posiada w całej pełni pokarm dla duszy i środki do uszczęśliwienia człowieka. Jego naczelne prawo miłości czyni człowieka zdolnym do ofiary, oddania się, idealizmu a równocześnie tłumi i zabija zimny egoizm. W katolicyźmie znajduje człowiek zaspokojenie tęsknoty za prawdą, pięknem i dobrem, w nim zyskuje pewną i trwałą ostoję życia.

Stosunek do Boga i stosunek do bliźnich uregulowany jest tu prawem miłości, w sposób najlepiej odpowiadający naturze i godności ludzkiej.

Wielki ideał, tworzący jak gdyby koronę wszelkiej kultury, ideał, obejmujący świat cały **rodziny narodów** urzeczywistnia się też najlepiej w Kościele katolickim, w tej duchowej i pokojowej potędze; w królestwie surowej jedności z monarchicznym papiestwem na czele i złączonymi z nim biskupami całego świata. W katolicyźmie tkwią siły prawdziwej uniwersalnej kultury ducha, która nie tylko potrafi wyrównać przeciwieństwa pośród narodów, ale równocześnie dostarcza pozytywnych podstaw do wspólnego, zgodnego myślenia, czucia i współpracy.

Wiara katolicka ukazuje się i jest w istocie prawdą o ogólnym znaczeniu jak gdyby słońce, obejmujące cały krąg ziemski; w jej Credo słychać głosy wszystkich ludów, w niej odżywają najstarsze tradycje ludzkości. Podobnie i moralność katolicka i prawo apelują do naturalnego sumienia i zatwierdzają wszystko to, co jest wzniosłe w naturze ludzkiej, podnoszą szlachectwo każdego człowieka, chociażby najdzikszego, jako odbijającego w sobie obraz Boga, podkreślają prawa słabych i uciemiężonych i zdolność kulturalną wszystkich ras i plemion. W prawdziwym katolicyźmie żyje duch miłości i gorliwości w pozyskanie dusz,

który potrafi wyrównać przeciwieństwa wśród narodów i owocniej pracuje niźli wszelkie misje handlowe czy towarzystwa dla niesienia kultury, gdyż nie idzie z celem zysku, i nie szuka własnej korzyści, jeno niesie ofiarną pracę, pokój i zupełne oddanie się dla bliźnich.

Życie wreszcie łaski, właściwe katolicyzmowi: „jeden chrzest“, który wszystkich odradza, „jeden chleb“, z którego wszyscy pożywają, jedna ofiara bezustanna „od wschodu do zachodu słońca“, łączy ludzkość wspólnotą nadnaturalną i tworzy z niej jedno mistyczne ciało.

Przy ofierze Mszy świętej i nabożeństwach katolickich znów w całej pełni ukazuje się uniwersalizm; wobec ołtarza nikną wszelkie przeciwieństwa stanowe, kasty czy rasy, a natomiast budzi się żywa świadomość jedności dzieci Boga i jednej i tej samej nadziei nieba.

Rola katolicyzmu w dziejach ludzkości nie da się porównać z rolą i znaczeniem innych religij; katolicyzm nie tylko przetrwał w niezmienionej treści wszelkie burze i kataklizmy dziejowe, nie tylko nie stracił nic na swej aktualności, ani uronił cokolwiek z powierzonej mu przez Boga prawdy, ale rozrasta się i rozszerza cudowną wprost dynamiką, która tylko prawdzie Bożej, prawdzie absolutnej jest właściwą.

Ks. Dr. Kozubski.
Prof. Uniw. J. P.

Praktyczne znaczenie tajemnicy o Duchu Świętym.

Na tle ogólnych utyskiwań na czasy obecne mocne i pełne hartu słowa Ojca Świętego budzą niezawodnie nie tylko podziw, ale również refleksje głębokie co do naszego ustosunkowania się do wymagań jakie życie współczesne przed nami stawia.

„Co dzień dziękuję Bogu, rzekł przy pewnej okazji Pius XI do jednego z członków kolegium, iż pozwolił mi żyć w dzisiejszych warunkach czasu. Ten tak głęboko sięgający, tak wszystko obejmujący kryzys jedynym jest w dziejach ludzkości. Trzeba być dumnym, iż jest się świadkiem, a w pewnym stopniu i współaktorem tego potężnego dramatu, gdzie dobro i zło w gi-

gantycznej przeciw sobie stają walce. Nikt nie ma prawa być przeciętnym widzem obecnej godziny".

W imię przeto społecznej odpowiedzialności i doniosłych przemian, których jesteśmy świadkami, Ojciec św. budzi ustawicznie świadomość potrzeby Akcji Katolickiej, czynu zbiorowego przenikniętego Duchem Bożym.

Żywotność społeczności jaką jest Kościół Święty ujawnia się poprzez wszystkie etapy historii, a może specjalnie w obecnych czasach. Dziś przeto słusznie dogmat o organicznej jedności członków z Chrystusem Panem znajduje tak szerokie i głębokie uzasadnienie w dociekaniach teologicznych. Wiara w Trójcę Świętą poczyna również zwracać uwagę na swój charakter społeczny, stanowiąc niedościgły jakoby pierwowzór solidarnego współżycia wiernych.

Związką tej nierozerwalnej jedności jest miłość, która w Bogu nazywa się Duchem Świętym.

Sama świętość Boża oraz całe dzieło uświęcenia ludzkości przypisywane słusznie bywa trzeciej Osobie Trójcy Przenajświętszej. Kiedy więc patrzymy na współczesne przełomy i trudności, które domagają się od nas katolików wielkich wysiłków i tężyzny ducha nie bez przyczyny umysły i serca nasze zwracają się ku Temu Pocieszycielowi, którego przyobiecał nam Zbawiciel. Ale często we świadomości nawet wierzących ludzi Duch Święty, Trzecia Osoba Trójcy Przenajświętszej, jest „Bogiem nieznanym".

„Już w samej nazwie zawiera się to pojęcie bezcielesności, abstrakcji, z którą cielesny umysł ludzki z trudem daje sobie radę. Bardziej zaś jeszcze wikła sprawę fakt, że jeśli ów Duch Czysty — przybiera na siebie formę materialną, zjawia się w postaci przypominającej ptaka, albo też w formie bezosobowej: ślepego żywiołu — płomyków nad głowami klęczących w Wieczerniku apostołów, czy tchnienia.

I dlatego — nie wiemy, jak się ustosunkować do tej formy objawienia Bóstwa; Duch Św. jest dla nas niemal niezrozumiały, bardziej obcy i daleki od pozostałych Osób Trójcy Świętej" [1]).

Jeżeli wśród świeckich apostołów ujawnia się potrzeba bliższego poznania mocy i działania Ducha Świętego, tym większy

---

[1]) H. Zasadowa „Nieznany Bóg", Iuventus Christiana, Maj, 1938 r.

spada obowiązek na nas, którzy z posłannictwa Bożego, mamy czuwać nad rozwojem świętości nie tylko w duszach poszczególnych ludzi, ale wśród całej społeczności wiernych.

Ongiś apostołowie w Wieczerniku tylko dzięki Duchowi Świętemu stali się niezłomnymi rycerzami Prawdy.

Dzisiaj warunki obecne również domagają się od nas nieprzeciętnych wysiłków i działania ponad ludzką miarę. I dlatego pomoc Ducha Świętego jest nam niezbędna. — On jeden może wzbudzić w nas twórcze pierwiastki oraz tchnieniem swym ożywić, zespolić w miłości i zjednoczyć prawdziwie z Bogiem.

Duch Święty jest istotnie węzłem jedności i miłości między Ojcem i Synem. W ogniu zaś tejże miłości rozżarza człowieczeństwo Chrystusa uświęcając je i zespalając z Bogiem nierozerwalnie.

Wszelkie zaś stworzenie, według wyroków Bożych, działaniu Ducha Świętego podlega jedynie przez zetknięcie się z Jezusem Chrystusem.

„Każda dusza ludzka, będąca latoroślą winnego pnia, którym jest Chrystus — wszczepiona weń dostępuje namaszczenia Duchem Świętym, który na niej spoczywa. Przez połączenie bowiem z Chrystusem uczestniczy stworzenie w synostwie Boga-Człowieka, musi przeto posiadać także owego Ducha miłości i jedności, w którym Ojciec miłuje Syna swojego. Duch Święty niezawodnie przekształca każdego człowieka, na którym spoczywa, według wzoru Syna Bożego. Podobnież, jak „przemienił" i przebóstwił człowieczeństwo Chrystusowe, tak przemienia i przebóstwia stworzenia ludzkie wszczepione w Chrystusa"[2]).

Miłość Ojca, który jest w niebiesiech, przejawia się w stosunku do stworzenia w sposób prawdziwie niewypowiedziany.

„Poznaj, woła św. Leon papież, swą godność, o chrześcijaninie, i stawszy się uczestnikiem boskiej natury, nie powracaj do dawnej nikczemności przez upadlające życie". Sermones, 21, 3. Przez łaskę uświecającą przemienia Duch Św. duszę ludzką, oczyszcza samo źródło z którego ma tryskać odtąd życie nowe przeniknięte miłością.

Chrystus Pan rzeczywiście nawiązał kontakt żywy między nami a Bogiem Ojcem.

---

[2]) O. L. von Rudloff O. S. B. Mała Dogmatyka, str. 117, Warszawa, 1937 r.

Druga Osoba Trójcy Przenajświętszej stała się człowiekiem, zespoliła w sobie dwie natury, skojarzyła dwa światy i jak gdyby wprowadziła człowieka w ośrodek życia Bożego.

Jezus Chrystus nauczył nas jako Bóg-Człowiek wznosić serca i umysły do Ojca. Okazał nam Jego twórczą potęgę i opatrznościowe rządy nad wszelkim stworzeniem. Przeszedłszy przez świat dobrze czyniąc, okazał się nam jako Prawda i Droga i Żywot. Umarł za nas, byśmy mogli z nim razem zmartwychwstać do nowego życia. Przebywając między nami ukrywał boską swą naturę, a teraz siedząc po prawicy Ojca Niebieskiego zataił jakoby swe człowieczeństwo.

Ale nie zostawił nas sierotami, miłością bowiem nigdy nie gasnącą przeniknięty przysłał nam Pocieszyciela, który dzieło przez Niego zaczęte ma dopełnić i do ostatecznego celu doprowadzić.

Organiczną społeczność, Kościół, którego głową jest Chrystus, ożywia Duch Święty i jest jego duszą. W ten sposób jednocześnie staje się łącznikiem współżycia między wiernymi. W stosunku zaś do poszczególnych członków tej Bożej społeczności Duch Św. odgrywa nieustannie rolę ożywiciela i uświęciciela. W tym dziele uświęcenia człowieczeństwo Chrystusa Pana odgrywa rolę zasadniczą, działanie bowiem Ducha Św. w duszy człowieka wtedy tylko staje się możliwe, kiedy tenże w Sakramencie Chrztu zjednoczy się z Nim jak najściślej. Inaczej miłość Boża nie miałaby dostępu do człowieka. Dopiero przez połączenie z Chrystusem uczestniczy stworzenie w synostwie Boga-Człowieka, a przez to samo zdobywa owego Ducha miłości i jedności, w którym Ojciec miłuje Syna Jednorodzonego: „A iż jesteście synowie, zesłał Bóg Ducha Syna swego w serca wasze wołającego: Abba, Ojcze!"

Duch Św. działając w duszy naszej udziela jej życia, które jest podobne do tego, jakim żyją Osoby Trójcy Przenajświętszej. Życie to zowie się życiem łaski i jest darem o charakterze całkowicie nadprzyrodzonym. To działanie Ducha Św. ma przemienić duszę ludzką, usprawnić jej władze, a wreszcie wpłynąć na poszczególne akty i czyny ludzkie. Łaska przeto uświęcająca przeobraża do głębi samo wnętrze duszy i w ten sposób uzdalnia ją do czynów zasługujących i godnych dzieci Bożych.

Od strony władz duszy działanie Ducha Św. polega na usprawnieniu ich do wykonywania czynów nadprzyrodzonych i zasługujących — są to tak zwane cnoty wlane i dary Ducha Świętego.

By zaktualizować, wprawić jakgdyby w ruch wszystkie władze duszy ludzkiej potrzebne są pewne doraźne impulsy i wpływ czynnika Bożego, jakimi są łaski uczynkowe. One to oświecają rozum człowieka, dopomagają do działania w sposób nadprzyrodzony, pomnażają przytem łaskę uświęcającą, którąśmy z łaskawości Bożej uprzednio otrzymali.

W ten sposób przejawia się rola uświęcająca Ducha Św., który kędy chce tchnie i żarem swej miłości przemienia coraz bardziej istotą ludzką w siebie. To działanie Ducha Św. na człowieka posiada stopnie — przeniknąwszy samą istotę duszy usprawnia jej władze do czynów o charakterze nadprzyrodzonym, które rozum oświecony wiarą dyktuje, w dalszym etapie udziela siedmiorakich darów uzdalniających władze duszy do całkowitej uległości poruszeniom samego Ducha Św. Najpełniej przeto wypowiada się Duch Boży w Swych darach, przez które poczyna jakoby samowładnie ingerować i podnosić człowieka ku świętości i zespalać z Istotą Najwyższą coraz silniejszymi węzłami wiary, nadziei i miłości.

W Piśmie Świętym ciągle spotykamy myśli dotyczące roli Ducha Bożego w człowieczeństwie Chrystusa Pana i w nas zespolonych z Nim organicznie.

„A jeśli Duch tego, który Jezusa wzbudził z martwych, w was mieszka i który wzbudził Jezusa Chrystusa z martwych, ożywi i ciała wasze śmiertelne dla Ducha jego w was mieszkającego". Rzym, 8, 11.

Uświęcająca rola Ducha Św., którego Chrystus Pan po Swym Zmartwychwstaniu szczodrze pragnie nam udzielać jest integralnie związana z całością ekonomii Bożej. Przede wszystkim działanie Tego Ducha przeistacza nas i z Bogiem coraz ściślej jednoczy.

„Także też i Duch dopomaga krewkości naszej, albowiem o cobyśmy prosić mieli, jako potrzeba, nie wiemy: ale sam Duch prosi za nami wzdychaniem niewymownym". Rzym, 8, 26. Ogarnia nas to święte działanie do głębi i sprawia, że naprawdę sta-

jemy się miłymi Bogu. Cały nasz postęp wewnętrzny zależy od tego pełnego dobrodziejstw wpływu.

By to działanie było skuteczne człowiek winien zachować pewne warunki a przede wszystkim przestrzegać czystości serca, nie zatracając nigdy ducha pokuty i umartwienia. Mamy stać się godnymi przybytkami Ducha Bożego, którego Chrystus Pan zawsze gotów jest z miłością udzielić.

To działanie nawskroś uświęcające ogarnia cały Kościół, a przytem każdego człowieka, który z ufnością dziecięcą poddaje się Jego zbawczemu działaniu.

Liturgia okresu Zielonych Świąt poprostu tchnie wiarą niezłomną w uświęcającą misję trzeciej Osoby Trójcy Przenajświętszej. Dlatego okres ten wprowadza tyle optymizmu i radości do życia Kościoła, budząc przy tym zapał do świętości.

Rozważanie zatem poszczególnych dogmatów z punktu widzenia praktycznego i realnych potrzeb człowieka podnosi ich wartość oraz przyczynia się do coraz wnikliwszego ich uzasadnienia. Wiemy przy tym, że Bóg objawił prawdy wiary nie ku podziwianiu tylko, ale przede wszystkim ku dobru i pożytkowi człowieka. Wprowadzone w życie, zastosowane w praktyce mają doprowadzić człowieka do celu najwyższego jakim jest Bóg w Trójcy Jedyny. Dlatego i dogmat o Duchu Św. choć, zdawałoby się, oderwany i mający jedynie spekulatywne znaczenie, w gruncie rzeczy odgrywa doniosłą rolę w dążeniu człowieka ku doskonałości.

Nabożeństwo do Ducha Św. niezawodnie wielkie może przynieść korzyści każdemu z nas — czy to na drodze osobistego uświęcenia, czy to w pracy apostolskiej.

Szczególnie na tle obecnych czasów pełnych tragicznych konfliktów, które jedynie pod tchnieniem Ducha Bożego ustąpić mogą, doniosła i nawskroś praktyczna rola trzeciej Osoby Trójcy Przenajświętszej w indywidualnym i społecznym życiu człowieka uwypukla się coraz wyraźniej.

Mając przeto pomoc w każdej potrzebie tego Ducha Prawdy i Miłości możemy, według słów Ojca św., iść śmiało naprzód nie będąc tylko przeciętnymi widzami, ale „współaktorami tego potężnego dramatu, gdzie dobro i zło w gigantycznej przeciw sobie stają walce“.

Ks. S. Ulatowski.

Po dwudziestu latach istnienia Kodeksu.

Coraz mniej kwestyj spornych w prawie kanonicznym.

Niepostrzeżenie minęło w dn. 19 maja b. r. dwadzieścia lat od dnia, w którym rozpoczął obowiązywać nowy kodeks Prawa Kanonicznego. Obecnie wprost nie do pomyślenia jest, jak można by się bez niego obejść we wszystkich dziedzinach życia kościelnego, nie tylko w dziedzinie administracji i organizacji Kościoła, nie tylko w dziedzinie sądownictwa, ale i w rzeczach najistotniejszych, w dziedzinie Sakramentów św., w przedmiocie wiary i moralności, w praktyce duszpasterskiej, w konfesjonale, szkole czy kancelarii parafialnej. Kanoniści liczą od daty wydania Kodeksu nowy okres w nauce prawa kanonicznego, i słusznie. Ogrom pracy włożony w to dzieło, który starsi prawnicy pamiętają chyba doskonale, młodsi poznać mogą choćby tylko z pięknej a gruntownej przedmowy Kard. Gasparriego, świadczy najlepiej o tym czego dokonała ta iście wiekopomna kodyfikacja w prawie kanonicznym. Największym jej chyba owocem we wszystkich działach prawa i dziedzinach życia było usunięcie niezliczonych wątpliwości, kwestyj spornych, kontrowersyj, które rodziły się w ciągu wieków, i którym zaradzenie było zawsze najpoważniejszym zadaniem kodyfikatorów; uskutecznienie tego zadania było przyjmowane zawsze z entuzjazmem i wdzięcznością, jak to np. miało miejsce z „Concordantia discordantium canonum" Gratiana. A nigdy pewno nie było większej potrzeby kodyfikacji praw kościelnych, jak właśnie po 19-stu wiekach istnienia Kościoła, kiedy Kard. Gasparri nie wahał się określić stan prawa kanonicznego słowami Liviusa „immensus aliarum super alias coacervatarum legum cumulus" (l. III. 34) [1]), a biskupi Francji wołali „Obruimur legibus" — wykazując, że nie tylko poznanie prawa kanonicznego napotyka na nieprzezwyciężone trudności, że kontrowersjom i sporom nie ma końca, ale i że sumienia ludzkie niepokojone są tysiącami niepewności, bo wogóle nieraz nie wiadomo, czy dane prawo obowiązuje, czy nie. Podobnież episkopaty innych narodów. Kodeks, dając prawo pewne, usystematyzowane, jasne, dostosowane do najnowszych pojęć usunął przeważającą liczbę wątpliwości dawnego prawa,

---

[1]) Codex Iuris Canonici, Praefatio.

to co pozostało było to już małym ziarnem w porównaniu z tym, co było; a pozostało jednak, mimo największych wysiłków, lub powstało nieuniknionym sposobem przy redagowaniu tak zwięzłego, krótkiego stosunkowo kodeksu dla olbrzymiego materiału, który on pochłonął, czy wreszcie dzięki zetknięciu się nowoczesnego prawa kodeksowego z prawem starym, o wiekowej tradycji i będącym w użyciu w chwili pojawienia się nowego. Jednakże prawodawca przewidział wykończenie tych kwestyj w dalszym życiu kodeksu, między innymi ustanawiając specjalną Komisję Papieską „ad Codicis canones authentice interpretandos“[2]). Komisja ta rozstrzygnęła już w ciągu 20 lat swego istnienia pokaźny szereg kwestyj i wątpliwości, nieraz pierwszorzędnej wagi. Jest to sposób niezawodny, praktyczny i ostateczny usuwania braków i sprzeczności, zwykle jednak Komisja czeka aż dana kwestia zostanie dostatecznie wyświetlona przez naukę prawną, aż, że się tak wyrażę, dojrzeje do rozstrzygnięcia. Od czasu do czasu ukazuje się więc w Acta Apostolicae Sedis krótkie zwięzłe Responsa Komisji, w których „Affirmative“ lub „Negative“ odpowiada ona „ad proposita dubia“. Coraz więc w prawie kanonicznym mniej kwestyj spornych. Oto nie tak dawno w 3 numerze Akt Stolicy Apostolskiej z b. r. ukazały się dwie odpowiedzi tejże Komisji na dwie walne kwestie w prawie kanonicznym, które właśnie dla przykładu chciałbym tu zilustrować.

Jedną z najbardziej zawikłanych dziedzin prawa kanonicznego w przedkodeksowym prawie była bezwątpienia dziedzina prawa zakonnego — ius religiosorum; prawa specjalne, które każdy prawie zakon posiadał, egzempcje, przywileje, różnorodne zwyczaje były podatnym polem do powstawania szeregu kwestyj spornych. Nowy Kodeks znakomicie uprościł sprawę drugą częścią drugiej księgi noszącej tytuł „De religiosis“. Wystarczy porównać, jak mówi Vermeersch, liczne przepisy partykularne, w różnych zakonach obowiązujące, co do przyjmowania nowicjuszów lub administrowania dobrami zakonnymi, z nielicznymi przepisami w tejże mierze w kodeksie, aby się przekonać, jak wielkie uproszczenie i ułatwienie przyniósł w tym względzie kodeks[3]). Tym się zapewne tłomaczy, że po kodeksie ukazało się tyle dzieł i opracowań specjalnych prawa De religiosis, i to najznakomit-

[2]) Motu Proprio Benedykta XV z 15. IX. 1917 r.

[3]) Vermeersch-Creusen, Epitome iuris canonici t. I. p. 31. Ed. 1929.

szych kanonistów. Mimo to niektóre kwestie z tej dziedziny pozostały spornymi lub wzrosły nawet na sile. Do nich należy słynna kwestia tak zwanej komunikacji przywilejów między zakonami. Komunikację — jako sposób nabycia przywilejów przez rozciągnięcie przywileju udzielonego jednym — na drugich za zgodą udzielającego zachował w istocie kodeks (kan. 63, 64, 65), jednakże bardzo ją ograniczył i uszczuplił jej działanie na przyszłość. Dawniej miała ona szerokie zastosowanie właśnie wśród zakonów. Przywileje udzielone jednemu zakonowi stawały się bardzo łatwo udziałem innych zakonów. Kodeks kanonem 613 § 1 [4]) wykluczył na przyszłość komunikację przywilejów między zakonami, lecz wyrażając się kategorycznie: „każdy zakon te tylko przywileje posiada, które albo mieszczą się w Kodeksie, albo zakonowi zostały bezpośrednio udzielone przez Stolicę Apostolską", spowodował powstanie kwestii, czy zakony utraciły przywileje nabyte przez komunikację czyli „uczestnictwo" przed kodeksem. Prawnicy podzielili się na dwa obozy. Odpowiedź twierdzącą („utraciły") dali Blat, Chelodi, Biederlack-Führing, Ferreres i inni. Sprzeciwili im się Prümer, Fanfani, Vermeersch-Creusen, Augustine, Noval, Brandys i inni. Kwestia aż dotąd była nierozstrzygniętą, bo jedna i druga strona miała poważne podstawy, przemawiające za jej zdaniem, a przecież chodziło o rzecz praktycznie dużej wagi, bo korzystanie z posiadanych dotychczas przywilejów. Ciekawe są argumenty przytaczane przez jedną i drugą stronę. Pierwsi przede wszystkim powoływali się na literę prawa: Quaelibet religio **iis tantum** privilegiis gaudet, quae vel in hoc Codice continentur vel a Sede Apostolica directe eidem concessa fuerint"; „tantum" ma sens ekskluzywny i oznacza, że innych przywilejów poza tu wspomnianymi zakony nie posiadają, a więc i przywilejów z uczestnictwa, o ile te nie znalazły się w Kodeksie; dalsze słowa kanonu „exclusa in posterum qualibet communicatione" — nie stanowią już nowego przepisu, lecz są konsekwencją pierwszych i ich wyjaśnieniem. Gdybyśmy przyjęli — powiadają — zdanie przeciwne t. zn. że zakony korzystają z przywilejów nabytych przez uczestników — obalilibyśmy tekst kanonu „iis tantum privilegiis gaudet". Poza tym przywileje jako prawa

[4]) „Quaelibet religio iis tantum privilegiis gaudet, quae vel hoc in Codice continentur, vel a Sede Apostolica directe eidem concessa fuerint, exclusa in posterum qualibet communicatione" (k. 613 § 1).

specjalne „contra vel praeter ius commune“ — powinny tracić swą moc, jeśli traci ją dane prawo ogólne („cadunt jure cadente“) a skoro raz już straciły moc, gdy straciło ją stare prawo ogólne — nie mogą znowu powstać do życia pod nowym prawem, jeśli nie zostały wyraźnie wskrzeszone. Wreszcie do przywilejów nabytych przez uczestnictwo jako czegoś sprzecznego, choćby tylko in posterum, z prawem nowym — powinna być stosowana ta sama zasada, co do reguł i konstytucyj — w kan. 489 (quae canonibus huius Codicis opponuntur abrogatae sunt).

Zwolennicy drugiej interpretacji, przyznawali coprawda, że biorąc kan. 613 § 1 samoistnie i chcąc trzymać się litery prawa, należałoby zakonnikom odmówić prawa korzystania z przywilejów nabytych przez uczestnictwo — jednakże kanon ten już sam przez się dopuszcza inne rozumienie, które staje się wysoce prawdopodobnym w związku z innymi kanonami. Dopuszcza sam przez się inne rozumienie, gdyż — słowa „exclusa in posterum“ wyraźnie wskazują, iż przepis ten odnosi się do przyszłości, iż przywileje in praeterito nabyte nie są wykluczone. Jakżeż wtedy wytłomaczyć eksluzywny sens pierwszej części kanonu? — Po prostu tym, że i ją trzeba odnieść tylko do przyszłości. Literalnie rzecz biorąc pozwalałyby na to słowa np. fuerint, które można wziąść za futurum [5]), bo prawodawca mógłby powiedzieć fuerunt. Choć takie tłomaczenie mogłoby się wydawać naciągnięte — jednak przychodzi z pomocą prócz ogólnej zasady lex retro non agit, jeszcze kan. 4, który załatwia sprawę przeszłości — a więc stwarza presumpcję, że kan. 613 — odnosi się do przyszłości tylko. Przecież kan. 4 wymaga, aby przywileje, które z nowym kodeksem mają stracić moc były odwołane expresse, a tymczasem w kan. 613 — mielibyśmy co najwyżej — przy pierwszym literalnym rozumieniu kanonu tacitam, implicitam revocationem, gdym expressa odnosi się tylko in posterum. Tyle mamy odwołań wyraźnych, jak np. w kan 403, 460 § 2, 519, 522, 543 § 2, 544, 654, 774 § 1, 876 § 1, 964 i t. d., że w kan. 613 § 1 powinnoby się to znaleźć, gdyby prawodawca zamierzał przywileje zakonów znieść. Zwolennicy pierwszego zdania trudność z kan. 4 tłumaczyli w ten sposób, że kan. 4 jest ogólnym, obowiązującym w tych działach, w których nie ma przepisu specjalnego, a w dzia-

---

[5]) Podobnie jak np. w kan. 58.

le De religiosis mamy specjalny w tej samej kwestii przepis kan. 613, więc nie stosuje się tu kan. 4, lecz interpretacji tej nie przyjmowali zwolennicy drugiego zdania. Negowali również analogię z kan. 489, gdyż tylko „regulae et constitutiones jako leges Romani Pont. in forma specifica“ równałyby się przywilejom, nie zaś inne. Poza tym zwolennicy utrzymania w mocy przywilejów zakonnych — przeważnie kanoniści-zakonnicy wytaczali długi szereg argumentów szerszej, moralnej natury. Trudno uwierzyć, mówili, aby prawodawca chciał pozbawiać zakony przywilejów, których używają spokojnie od niepamiętnych czasów; niektóre przywileje jako przeszło stuletnie same przez się stwarzają domniemanie udzielenia bezpośredniego (praesumptio concessionis) inne opierają się na zwyczajach i bardzo trudno byłoby nieraz odróżnić, jaki był właściwy początek danego przywileju, stąd powstałyby wątpliwości i niepewności niepotrzebne. Jeśli chodzi zaś o nowsze przywileje, nabyte przez uczestnictwo, to przecież wiele zakonów i zgromadzeń mogło je nabyć i bezpośrednio, a tylko dla uproszczenia nabywało je tą drogą — a teraz wprowadziłoby się wielkie zamieszanie w ich życie domowe i byłoby zresztą niesprawiedliwością pozbawiać jedne zakony przywilejów, które innym przysługiwałyby nadal, a zobowiązania byłyby te same u jednych co i u drugich. Tak więc powoli coraz to bardziej prawdopodobne stawało się zdanie drugie i nawet po tej samej linii zaczęła iść praktyka. Rzymskie „Monitore“ z 1918 r. str. 194, 366 oznajmiło, że stosowanie kan. 613 należy wstrzymać, aż do czasu, kiedy Św. Kongreg. de Religiosis nie rozpatrzy przywilejów poszczególnych zakonów. Zdaje mi się jednak, iż takie oświadczenie wskazywałoby raczej, że kan. 613 należy rozumieć w sensie surowszym — znoszącym przywileje nabyte drogą uczestnictwa. Ostatecznie Papieska Komisja dla autentycznej wykładni kanonów Kodeksu rozstrzygnęła kwestię na korzyść drugiego zdania, odpowiadając na wątpliwość: „An verba canonis 613 § 1: exclusa in posterum qualibet communicatione, ita intelligenda sint, ut revocata fuerint privilegia a religionibus ante Codicem I. C. per communicationem legitime aquisita et pacifice possessa?“ — „Negative“.

Z innej zupełnie dziedziny, bardziej może praktycznej w duszpasterstwie, mamy drugą kwestię sporną, która być może według samego kodeksu nie byłaby sporną, lecz, że była tu przed

kodeksem poważna i nierozstrzygnięta wątpliwość, więc nawet po kodeksie pozostały trudności. Chodzi o wpływ ciężkiej bojaźni lub przymusu moralnego na odpowiedzialność karną za występki popełnione z bojaźni, a ściśle mówiąc, na wpadnięcie w kary latae sententiae t. zn. z góry w kodeksie wymierzone. Wiadomo, że ciężka bojaźń jest przyczyną, znoszącą lub zmniejszającą poczytalność, a konsekwentnie też i wymiar kary. Kodeks o dwóch tych sprawach traktuje oddzielnie, o pierwszej w dziale De delictis w kan. 2205, o drugiej w dziale De poenis w kan. 2229. W jednym i w drugim wypadku jednak prawodawca robi różnicę między występkami wykraczającymi przeciwko prawom czysto ludzkim, a tymi, które wykraczają przeciw prawom boskim naturalnym lub pozytywnym. W drugim wypadku mniejszym winien być wpływ bojaźni na odpowiedzialność. Rozróżnienia te czyniono już w prawie przedkodeksowym wątpliwość tam była następująca:

Jeśli prawo kościelne nakłada karę za jakiś czyn, a ktoś popełni ten czyn pod wpływem bojaźni lub przymusu — to będąc uwolniony od odpowiedzialności — konsekwentnie wolny jest od kary czyli jeśli to była kara latae sententiae — nie wpada w nią. Jeśli natomiast jakiś czyn jest już zabroniony przez prawo naturalne lub boskie pozytywne (actus intrinsece malus) a Kościół jeszcze ustanowi za spełnienie tego czynu karę latae sententiae — to wtedy gdy ktoś popełni ten czyn pod wpływem bojaźni lub przymusu moralnego — nie jest on zupełnie wolny od winy gdyż prawa boże winny być bardziej szanowane, nieraz nawet z narażeniem życia, czy jednak wtedy wolny jest delinkwent od kary kościelnej latae sententiae?

Zdania były podzielone. Surowszego zdania trzymali się Sanchez, Palao, Hurtadus i inni, mówiąc, że skoro nie upada odpowiedzialność, nie upada i kara kościelna, łagodniejszego za św. Alfonsem, Ballerini-Palmeri, Suarez Reiffenstuel, Bonacina, D'Annibale, Wernz — wyłączali jednak występki, które wychodziły na pogardę wiary, władzy kościoła lub szkodę dusz. Kodeks unormował sprawę w ten sposób: 1° Gdy chodzi o odpowiedzialność za występek (poczytalność): jeśli to jest występek przeciw prawom czysto kościelnym — bojaźń ciężka przeważnie odpowiedzialność całkowicie znosi (2205 § 2) — jeśli zaś jest to czyn wewnętrznie zły (intrinsece malus) lub wychodzi na pogardę

wiary lub władzy kościelnej lub szkodę dusz — to wtedy ciężka bojaźń zmniejsza tylko odpowiedzialność nie znosząc jej całkowicie. (2205 § 3).

2° Gdy chodzi o wpadnięcie w kary latae sententiae to należy odróżnić: a) jeśli prawo używało wyrażeń które wymagają do spełnienia czynu pełnej świadomości i rozwagi (np. praesumpserit, ausus fuerit, scienter egerit i t. d.) ciężka bojaźń sprawia, że w kary się nie wpada 2229 § 2) b) jeśli w prawie słów tych nie było — ciężka bojaźń nie uwalnia od kar latae sententiae, jeśli występek obraca się na pogardę wiary, władzy kościelnej lub publiczną szkodę dusz. (kan. 2229 § 3 u 3°). O ten właśnie przepis chodzi nam teraz. Zdawałoby się, że kwestię starego prawa rozstrzygnął on definitywnie na korzyść łagodniejszej teorii. Znaczy on bowiem a contrario, że ciężka bojaźń uwalnia od kar latae sententiae jeśli tylko nie chodzi o czyn obracający się na pogardę wiary (np. apostazja) władzy kościoła (np. zawarcie małżeństwa przed duchownym akatolickim) lub publiczną szkodę dusz (np. zgorszenie dane przez pojedynek publiczny). Co jednakże należy sądzić o innych czynach samych w sobie złych (intrinsece mali) lub tych, które zwracają się na prywatną szkodę dusz? — Przecież w kan. 2205 § 3 i te właśnie czyny są wyjęte z pod reguły głoszącej, że bojaźń ciężka znosi odpowiedzialność?

Ściśle rzecz biorąc, ponieważ kan. 2229 § 3 n. 3° nie wyliczył ich w wyjątkach, należałoby wnioskować, że w tym wypadku ciężka bojaźń uwalnia od kar latae sententiae za te czyny i tak większość prawników utrzymywała dotychczas, byli jednakże tacy, którzy nadal trzymali się co do tych rzeczy surowszego zdania jak np. Sole [6]) rozumując w ten sposób, że skoro w wypadkach czynów z istoty swej złych np. procuratio abortus — bojaźń nie znosi odpowiedzialności, gdyż jest ona oparta o prawo boże naturalne — nie powinna upadać również i cenzura kościelna, chyba że bojaźń tak zmniejszyła poczytalność, iż wogóle wina stała się lekką (culpa levis). Zwolennicy zdania przeciwnego np. Cappello [7]) wślad za zwolennikami łagodniejszej sentencji w dawnym prawie przedkodeksowym twierdzili natomiast, że ka-

---

[6]) Sole, De delictis et poenis, Romae, 1920 p. 318 sq.
[7]) F. Cappello, De censuris p. 60, (1925).

ra kościelna w tym wypadku upada, bo jakkolwiek odpowiedzialność nie zostaje zniesiona, zostaje jednak zmniejszona wobec tego sprawca powinien być ukarany mniejszą karą, a nie tą latae sententiae, która już w kodeksie jest ustalona.

Właśnie z pominięcia w kan. 2229 § 3 n. 3° czynów złych samych z siebie należy wnioskować, że są one zwolnione z kar latae sententiae, jeśli były dokonane pod wpływem bojaźni. Zdanie to uważał na zupełnie pewne również w stosunku do czynów, które wychodzą na szkodę dusz, lecz prywatną Bouuaert[8]), gdyż w kan. 2229 § 3 n. 3° jest dodane „publicum", czego nie ma w kan. 2205 § 3.

Orzeczenie Papieskiej Komisji kodeksowej ostatecznie zakończyło sprawę jednak tylko, jeśli chodzi o actus intrinsece mali nie wyliczone w kan. 2229 § 3 n. 3°. Na pytanie bowiem: An metus gravis a poenis latae sententiae eximat si delictum quamvis intrinsece malum et graviter culpabile, non vergat in contemptum fidei aut ecclesiasticae auctoritatis vel in publicum animarum damnum ad normam canonis 2229 § 3 n. 3° komisja dała odpowiedź „Affirmative" (A. A. S. r. XXX p. 73).

W ten sposób mamy znowu o dwie kwestie sporne mniej w prawie kanonicznym. Jesteśmy stale na drodze do precyzowania się przepisów prawnych, do wyjaśniania się miejsc wątpliwych, a więc do usuwania wszelkich braków i niedokładności. Prócz wspomnianej Komisji pracę tę prowadzi w bardzo wydatnej mierze Św. Kongregacja Soboru, dając w swych rozstrzygnięciach w poszczególnych konkretnych sprawach, a niekiedy nawet ogólnie formułując swe decyzje, uzasadnioną interpretację kanonów, w pewnej mierze i inne kongregacje — a całkowicie w dziedzinie sądownictwa Orzecznictwo Św. Roty Rzymskiej. Dwadzieścia lat pracy pokodeksowej świadczy, iż wszystkie czynniki prawne do niej powołane oparte na trwałej podstawie, jaką jest kodeks, przyczyniają się znakomicie do wypełnienia jego roli w życiu Kościoła wewnątrz — ułatwiając je i upraszczając wydatnie na zewnątrz, przyczyniają Kościołowi sławy i uznania.

Ks. Dr. K. Konieczny.

---

[8]) F. Claeys Bouuaert, De metus influxu, Romae Ius Pontificium, 1926 fasc XIII.

Gminy Starochrześcijańskie i pogańskie bractwa pogrzebowe.

Wiele jeszcze spraw, dotyczących pierwotnego Kościoła, mimo usilnych i wielokrotnych w tym kierunku dociekań nie zostało należycie rozstrzygniętych. Jednym z tych zagadnień jest od kiedy Kościół uprawniony został do posiadania realności jako wspólnej własności kościelnej. Taka własność istniała niewątpliwie w czasach poprzedzających edykt Mediolański z r. 313: Ten stan rzeczy edykt wyraźnie potwierdził, a nadto sam od siebie na dalszą przyszłość również przyznał Kościołowi uprawnienia instytucji uprawnionej do posiadania. „Et quoniam iidem christiani non ea loca tantum, ad quae convenire consueverunt, sed alia etiam habuisse noscuntur ad ius corporis eorum id est ecclesiarum, non hominum singulorum, pertinentia, ea omnia lege quam superius comprehendimus, citra ullam prorsus ambiguitatem vel controversiam iisdem christianis id est corpori et conventiculis eorum reddi iubebis, supra dicta scilicet ratione servata, ut ii qui eadem sine pretio sicut diximus restituant, indemnitatem de nostra benevolentia sperent“ [1]).

W związku z tym powstają pytania, od kiedy się datuje początek takiej kościelnej własności oraz jak się to stało, że chrześcijaństwo, będące proskrybowaną przez państwo religią mogło w tymże państwie występować jako instytucja uprawniona do posiadania i do rozporządzania nieruchomym majątkiem?

I.

Najdawniejsze objawy posiadania przez Kościół dadzą się stwierdzić z całą pewnością już od schyłku wieku II-go, lub najpóźniej od początku wieku III-go. To posiadanie jest rzeczą niewątpliwą odnośnie do budynków, przeznaczonych do gromadzenia się oraz do odbywania kultu. Budynki te, znane wszystkim stanowiły własność gmin chrześcijańskich. Za taką własność uznawały je ówczesne władze państwowe oraz ludność. W okresach prześladowania budynki te właśnie dlatego, że były własnością

[1]) Por. Lactantius, De mortibus persecutorum, 48 w Corpus Vindobonense 27, 229; Migne, P. L. 7, 268.

Kościoła, były konfiskowane, palone lub burzone. W czasie znów pokoju religijnego i wolności były one przez władze rzymskie ponownie ich właścicielom przywracane i traktowane jako własność zbiorowości chrześcijańskiej [2]).

Wiadomo, że przez długi czas chrześcijanie byli zmuszeni gromadzić się na swoje zebrania w domach zamożniejszych współbraci, którzy odstępowali im na ten cel jedną z sal. Wiemy o takich zebraniach chrześcijan w domu Marii, matki Marka w Jerozolimie [3]), a w Rzymie w domach Pryski i Akwili [4]), senatora Pudensa [5]), Klemensa [6]) późniejszego papieża.

Zupełnie analogiczne zjawisko zachodziło również w odniesieniu do cmentarzy. I one były z początku własnością prywatną, zanim się stały wspólnymi miejscami grzebalnymi. Wierni, posiadający grobowce rodzinne mogli pozwolić na grzebanie na nich zmarłych swoich współwyznawców. Najprawdopodobniej nie odbywało się ono w samym grobowcu, lecz groby urządzano na powierzchni otaczających grobowce placach cmentarnych (areae), lub też urządzano je pod powierzchnią, w głębi ziemi (hypogaea) [7]). Tego rodzaju grzebanie prawo rzymskie przewidywało, udzielało na nie pozwolenia i całkowicie je zatwierdzało.

---

[2]) Liczne teksty dotyczące omawianej sprawy zgromadził i opracował J. P. Kirsch. Die christlichen Cultusgebäude, Freiburg i. B. 1897, 6 — 20; H. Leclercq. Manuel d'archéologie chretienne, II, Paris 1907, 335 nss.

[3]) Por. Dz. Ap. 12, 12.

[4]) Por. Rzym, 16, 3 — 5. Według tradycji kościół św. Pryski na Aventynie stoi na miejscu domostwa Pryski i Akwili. Przynajmniej w wieku V-ym znano go jako „titulus Priscae" lub „titulus Aquilae et Priscae". Bliższe szczegóły podaje J. P. Kirsch, Die römischen Titelkirchen im Altertum, Paderborn 1918, 101 — 104; G. B. de Rossi, Della casa d'Aquila e Prisca sull'Aventino w Bulletino di Archeologia cristiana 4 (1867) 44 ns. 5 (1868) 35.

[5]) Dom Pudensa był położony w pobliżu dzisiejszej bazyliki S. Maria Maggiore w tym miejscu, gdzie obecnie się wznosi kościół św. Pudencjanny. Zdaniem de Rossi'ego, Bulletino di Archeol. crist. 4 (1867) 43 ns. pomiędzy rodziną Pudensa a małżonkami Akwilą i Pryską zachodziły bliższe stosunki. Domniemanie swoje de Rossi wysnuł z nagrobnych inskrypcyj z figurującymi na nich imionami Akwilina, Akwili i Pryski, znalezionych na cmentarzu Pryscylli, który miał być pierwotnie familijnym cmentarzem Pudensa.

[6]) Obecna bazylika św. Klemensa ma stać na miejscu rodzinnego domu tego papieża. Tak G. B. de Rossi, Bulletino di archeol. crist. 1 (1863) 25 nss. Por. E. Junyent, Il titolo di San Clemente in Roma, Roma 1931.

[7]) Por. G. B. de Rossi, Roma Sotteranea, I, Roma 1864, 109; Dictionnaire d'archéologie chretienne, pod wyr. „area" i „catacombes".

Ten duch prawa rzymskiego był poprostu odzwierciadleniem głębokiej i ogólnej troski, jaką cała starożytność okazywała swym zmarłym. Stąd płynęło, że w starożytności każdy grób tak pojedyńczy jak i rodzinny doznawał od wszystkich najwyższego poszanowania, a grzebanie zwłok poczytywane było za świętą powinność żyjących [8]). W Rzymie nad nietykalnością grobu czuwało osobne kolegium kapłańskie. Samo już złożenie zwłok do ziemi czyniło to miejsce religijnym (locus religiosus) i zapewniało mu opiekę prawa: „Religiosum locum unusquisque sua voluntate facit, dum mortuum infert in locum suum [9]). Co więcej, w pewnych warunkach grób wobec prawa mógł się stać miejscem świętym (locus sacer), co go równocześnie zabezpieczało od sprzedaży i od przejścia drogą spadkobrania w obce ręce [10]). Profanacja grobu pociągała za sobą karę pieniężną [11]). Prawo rzymskie pozwalało również na uczciwe pogrzebanie i tych, których śmiercią karało [12]). „Corpora animadversorum quibuslibet petentibus ad sepulturam danda sunt" [13]). Nie robił też kodeks karny różnicy co do grzebania ubogich i bogatych, obywateli rzymskich i cudzoziemców, czcicieli bogów Panteonu lub wyznawców obcych religii. Wobec takiego stanu rzeczy mogły zatem i groby chrześcijan w obliczu prawa rzymskiego być miejscami religijnymi,

---

[8]) W Iliadzie (pieśń 23, wiersze 69—74) duch zabitego Patrokla robi gorzkie wyrzuty przyjacielowi Achillowi, że zaniedbał pogrzebania jego zwłok. — Osoby powoływane do wyższych godności państwowych musiały wprzód udowodnić, że nieżyjącym swoim rodzicom sprawiły należny pogrzeb. — Znaną jest troska Tobiasza o grzebanie ciał zmarłych jego ziomków. — Do dziś dnia grzebanie zmarłych stanowi miłosierny uczynek co do ciała.

[9]) Tak Marcianus, Digesta 1, 8, 6, § 4. Por. Marquardt, Handbuch der römischen Altertümer, III, Leipzig 1876, 143.

[10]) Wyraźnie zastrzegał to napis: „hoc monumentum haeredem ex testamento non sequatur" zazwyczaj ryty na nagrobkach w skrócie: H. M. H. EX. T. N. S., co zn.: grobowiec ten rozporządzeniem testamentalnym nie przejdzie na moich spadkobierców, lecz zostanie wieczystym miejscem spoczynku dla mnie i dla moich.

[11]) Którą pobierała kasa miejska, jak to np. było wolą Abercjusza, lub jakaś inna publiczna instytucja.

[12]) Przeszkody jakie nieraz urzędnicy lub lud stawiali chrześcijanom w grzebaniu ich męczenników lub zmarłych były aktami samowoli lub przemocy, krewni lub przyjaciele skazańca zazwyczaj otrzymywali jego zwłoki na skutek zaniesionej do sędziego prośby o ich pogrzebanie według przestrzeganego rytuału. Takie pozwolenie otrzymał np. Józef z Arymatei.

[13]) Por. Digesta 48, 24, 2.

a tym samym nie mogły być pozbawione opieki władz[14]). Prawna ta opieka rozciągała się nie tylko do samego grobu, ale zarówno obejmowała i plac, który z woli fundatora do grobowca przyłączono. Była nim nie tylko area czyli teren bezpośrednio przylegający do grobowca, ale i tereny dalej się rozciągające (area adiecta) a zajęte pod ogrody i winnice. Rozmiary tych placów oznaczone zwykle na kamieniu granicznym wahały się w rozmiarach od drobnych działek do terenów o powierzchni kilku lub kilkunastu nawet morgów rzymskich[15]).

Wyłuszczony stan rzeczy zarówno pod względem życiowym jak i prawnym o tyle godzien jest uwagi, że rzuca światło na początki wspólnych chrześcijańskich cmentarzy. Na powierzchni ziemi nieopodal którejś z dróg publicznych wznosiło się pojedyncze lub familijne mauzoleum. W obrębie otaczającego go placu cmentarnego, lecz w głębi pod ziemią ryto galerie. W grobach przygotowanych, w ich ścianach, składano zwłoki zarówno samych właścicieli cmentarza, jak członków ich rodzin, ich wyzwoleńców, niewolników oraz ubogich współwyznawców w wierze. Wejście do tych podziemnych cmentarzy bynajmniej nie było ukrywane: prawo bowiem otaczało swą opieką każde miejsce grzebalne. W sposób wyżej opisany rodzinne hypogaeum Aciliorum Glabrionum przekształciło się i rozwinęło w podziemny cmentarz Pryscylli przy drodze Salaria Vetus[16]).

Zwyczaj przyjmowania zwłok zmarłych nie należących do rodziny, do prywatnych grobowców praktykowany był również i przez pogan. Na tle tego zwyczaju powstał i rozwinął się, przynajmniej w III-im i IV-ym wieku, pewien rodzaj stowarzyszeń nazwanych przez badaczy kolegiami prywatnymi i rodzinnymi (collegi famigliari e privati)[17]). Nazwy swoje zapożyczały te stowarzyszenia przeważnie od nazwiska odnośnej familii, jako że

---

[14]) Tak w ślad za G. B. de Rossi'm, Bulletino di archeol. crist. 3 (1865) 90 wywodzi J. Bilczewski, Archeologia chrześcijańska, Kraków 1890, 15.

[15]) Przykłady przytoczył St. Leclercq, Dictionnaire d'archéologie chret. pod wyr. „area".

[16]) Por. M. Besnier, Les catacombes de Rome, Paris 1909, 38 ns.

[17]) Szeroko rozwodzi się o nich G. B. de Rossi, Roma sotterranea, III, Roma 1877, 37 — 42; 507 — 513: Bulletino dell' Instituto arch. (1877) 47 — 49; I collegii funeraticii famigliari e privati e loro denominazioni in Commentationes philolog. in honorem Th. Mommsen (1877) 705 — 711; Bulletino di archeologia comunale (1885) 20.

składały się z członków do niej należących oraz z innych osób przez nią dobranych. Takimi naprzykład byli collegia Eusebiorum, Eutychiorum, Auguriorum [18]). Z całą pewnością istniały tego rodzaju stowarzyszenia pogańskie. Nie jest jednak wykluczone, że i chrześcijanie również korzystali z tej instytucji [19]). Możliwe, że były nimi collegia Eutychiorum na cmentarzu Kaliksta, Pellagiorum na cmentarzu Pryscylli, Ecplegiorum na cmentarzu Domitylli [20]).

W miarę rozrostu Kościoła grobowce prywatne nie wystarczały potrzebom: należało pomyśleć o tym, żeby mieć do rozporządzenia o wiele więcej miejsca na cmentarz. Pod koniec wieku II-go rozległe podziemne cmentarze, czyli tak zwane dzisiaj katakumby, które nieustannie się rozszerzały przez kopanie coraz to nowych galerii, już nie stanowiły własności prywatnej. Jest faktem niezaprzeczonym, że obszerne te rzymskie necropolia, podobnie jak chrześcijańskie areae sepulturarum w Kartaginie za czasów Tertuliana należały do społeczności kościelnej oraz jej imieniem były zarządzane.

Do posiadanych budynków kultu oraz do wspólnych cmentarzy dochodziły jeszcze inne nieruchomości oraz majątki w ziemi, jak pola, ogrody, winnice, którymi gmina władała i miała je jako część swego wspólnego dobytku. Takim był naprzykład dom biskupi w Antyochii, o którym w. r. 272 roztrzygnął ces. Aurelian przysądzając go tamtejszej gminie kościelnej, a oddalając pretensje heretyków jako nieuzasadnione [21]).

Wreszcie społeczność chrześcijańska posiadała wspólną kasę (arca communis). O jej istnieniu wyraźnie mówi w r. 197

---

[18]) Wykaz tych nazw podał J. P. Waltring, Etude historique sur les corporations profesionelles, IV, Lonvain 1900, 177—180.

[19]) Usiłuje to wykazać G. B. de Rossi w swoich roztrząsaniach „I collegii funeraticii famigliari e privati“, a to przez przyjęcie jako chrześcijańskich dwuch inskrypcyj w Corpus Inscript. Latin VI, nº 10411: (meae) religionis homines“ oraz nº 10412: „ad religionem pertinentes meam“.

[20]) Takie twierdzenie wysunął G. B. de Rossi, Roma sotter., III, Roma 1877, 37; Bulletino di archeol. crist. (1884 — 1885) 83 ns; (1886) 4 oraz tar. IV, 4; Corpus Inscript. Latin. VI, 10284; O. Marucchi, Roma sotter., N. S. I, 134. — Na twierdzeniu de Rossi'ego nie można polegać, gdyż nie da się z całą pewnością stwierdzić chrześcijański charakter i pochodzenie przytoczonych inskrypcyj, wyszczególniających owe „collegii famigliari e privati“: żadnej z nich bowiem nie znaleziono „in situ“.

[21]) Por. Euzeb., Historia eccles., 7, 30.

Tertulian: „Etiam si quod arcae genus est, non de honoraria summa... congregatur"[22]). Z dalszych wynurzeń apologety wynika również, że kasa ta zasilana była przez składki wpłacane co miesiąc dobrowolnie przez wiernych, i że jej wkłady obracano na uczynki miłosierdzia.

(d. c. n.)

Ks. Antoni Kwieciński.

Powstanie prymasowskiej kapituły w Łowiczu.

Pierwszy Kościół parafialny w Łowiczu erygowany około 1100 r. jest jedną z najstarszych placówek na Mazowszu. Obok Czerska i Płocka również i Łowicz już za Bolesława Śmiałego musiał otrzymać nieliczną grupę kleru misyjnego, którą obsadził władca Polski swoje grody celem ugruntowania wiary chrześcijańskiej w sercach poddanych. Oczywiście w oparciu o te grody kapłani pouczali lud i wykorzeniali bałwochwalstwo. Taką to pracę prowadzono w zachodnim Mazowszu, gdzie Łowicz odgrywał rolę reprezentanta władzy królewskiej. W tych mało zaludnionych borach, jak wspominaliśmy, arcybiskupi gnieźnieńscy od Bolesława Śmiałego, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, otrzymali obszerne uposażenia gruntowe. Dlatego arcybiskupom najwięcej zależało na umocnieniu chrześcijaństwa w okolicach Łowicza. Musieli więc grodowi łowickiemu dostarczyć gorliwych misjonarzy. Ci właśnie misjonarze, jak wogóle duchowieństwo, za Bolesława Śmiałego niezawodnie prowadząc życie wspólne dali początek późniejszej kapitule kolegiackiej.

Kolegium kapłanów misyjnych zbudowało obok grodu Kościół drewniany, by tym łatwiej lud miejscowy gromadzić i utwierdzać w wierze. Należytą zaś organizację parafii łączono z wybudowaniem świątyni. Gdy więc stanął Kościół, stał się on jedną z pierwszych parafii na Mazowszu w XII stuleciu.

Blisko 300 lat promieniowało to ognisko religijne na pobliskie okolice Łowicza i stworzyło cały szereg kościołów filialnych, które z czasem wypadło podnieść do godności parafialnych. Ma-

---

[22]) Por. Apologetic. 39, 1.

zowsze pogańskie wzięte w trzy ognie, bo z zachodu przez arcybiskupów gnieźnieńskich, od północy przez biskupów płockich i od południa przez biskupów poznańskich, szybko uległo głębokiemu procesowi uchrześcijanienia przez cały XII, XIII, i XIV wiek. Tak więc jak placówką działalności kościelnej dla Poznania był Czersk, znowu dla Gniezna spełniał tę samą rolę Łowicz. Łowicz jednakże nie cieszył się bynajmniej jakąkolwiek samodzielnością lub odrębnością na wzór archidiakonatu czerskiego, lecz bezwzględnie pozostawał pod czujną i bezpośrednią opieką swoich ordynariuszów. Arcybiskupi mając główne nadania ziemskie w tutejszych okolicach, lękali się, jak ognia, samej myśli wyodrębnienia zachodniego Mazowsza z pod swego zwierzchnictwa. To też przez długie lata potem walczą wytrwale z książętami mazowieckimi w obronie swoich własności i u tronu królewskiego szukają gwarancji ich wieczystego posiadania.

Kiedy w pierwszej połowie XV w. wstąpił na stolicę arcybiskupią Wojciech Jastrzębiec, nauczony doświadczeniem, bystrym okiem starał się przewidzieć przyszłe koleje losu arcybiskupstwa. On pierwszy zauważył, że rozległa archidiecezja gnieźnieńska ciągnąca się pasmem od Gniezna po Łowicz i Rawę, dalej za rzekę Pilicę aż za Radom i Opoczno, nie ma dotąd stałej a dogodnej rezydencji ordynariuszowskiej. Arcybiskupi przebywając często w sprawach politycznych w Krakowie, gdy przyszło im załatwiać sprawy administracyjne archidiecezji zjeżdżali przeważnie do południowych miast, jak do Łęczycy, Kalisza, czy Łowicza lub gdziekolwiek z wędrującą z nimi kancelarią przyboczną i po drodze przyjmowali petycje. Stan taki nie mógł trwać zbyt długo. Należało czym prędzej wobec nawału spraw diecezjalnych punkt ciężkości archidiecezji ustalić ku wygodzie interesantów.

Stosunkowo niedawno zorganizowane księstwo łowickie za Kazimierza Wielkiego przez arcybiskupa Skotnickiego, nakazywało arcybiskupom skupić administrację tego księstwa obok administracji arcybiskupstwa pod ich czujnym okiem. Ciągłość linii postępowania poprzedników i mające na uwadze dobro arcybiskupa i interesantów, praktyczne względy, polecały Jastrzębcowi na taki ośrodek w archidiecezji Łowicz.

Ale ów Łowicz, już wtedy stolica administracyjna księstwa łowickiego, zbyt był jeszcze skromny na stałą rezydencję ordynariuszowską. Miał on wprawdzie wszelkie widoki rozwoju na

przyszłość, dwa kościoły parafialne i trzeci dominikański. Nie posiadał przecież przybocznego senatu arcybiskupiego, jakim mogła być kanonicznie erygowana kapituła. Brak tej kapituły pomniejszał urok stolicy księstwa łowickiego. Można było wprawdzie sięgnąć po gnieźnieńską kapitułę i postarać się ją przenieść do Łowicza, lecz zbyt wiele taki akt nastręczał trudności. Miała tu do powiedzenia najwięcej Stolica Apostolska, król, cała Wielkopolska i sama wreszcie kapituła. Łatwiej było rezydencję ordynariuszowską stopniowo utrwalić w Łowiczu i nową kapitułę erygować, aniżeli tamto urzeczywistnić. A zresztą prymasi królestwa polskiego o innej kapitule marzyli, aniżeli gnieźnieńska, gdzie na obsadę prelatur i kanonii arcybiskupi nie posiadali całkowitego wpływu. Sędziwy zaś arcybiskup Wojciech Jastrzębiec uważał, że prymasa w Polsce stać już na to, aby swoim sumptem erygował kapitułę, złożoną z prałatów i kanoników, których sam wyłącznie miałby prawo powoływać do gremium wybranych. Taka właśnie kapituła prymasom arcybiskupom była potrzebna do przybocznej rady w zarządzie księstwem i całą archidiecezją.

Być może, że to chęć dorównania książętom mazowieckim z linii warszawskiej skłaniała arcybiskupa do takich aspiracyj. Jeżeli książe Janusz Starszy ośmielił się urok Warszawy, nowej stolicy Mazowsza podnieść przez sprowadzenie i powiększenie kapituły z Czerska, to czyż arcybiskupi gnieźnieńscy nie mogliby erygować podobnej kapituły w swej stolicy książęcej w Łowiczu? Książę Janusz Starszy własnym majątkiem uposażył prałatów i kanoników, zyskując przez to przywilej prezentowania swoich kandydatów na prelatury i kanonie. Jastrzębiec był wówczas już tak zamożnym księciem, że mógł sobie na to samo pozwolić, tym bardziej, że chodziło o taką kapitułę, do której by jemu przysługiwało prawo prezenty na wzór książąt południowo-mazowieckich. Prawo to mógłby sam wykonać lub przez podstawioną osobę.

Taką paralelę w stosunkach kościelnych na Mazowszu, między Łowiczem a Warszawą, daje się zauważyć przy badaniu początkowych dziejów kapituły warszawskiej i łowickiej. Wojciecha Jastrzębca należałoby raczej nazwać uczniem księcia Janusza Starszego, gdyż od niego uczył się, jako ówczesny biskup poznański, metody realizowania podobnych zamiarów i oglądał Januszo-

we triumfy zabiegów dyplomatycznych w Rzymie [1]). Książe bowiem w Warszawie, chociaż człowiek świecki, sprytem i znajomością stosunków kościelnych górował nad dygnitarzami duchownymi. W jego ślady wypadło wstępować teraz Jastrzębcowi, kiedy zapragnął podnieść Łowicz do większej powagi w archidiecezji. Ale mimo wszystko trzeba było całą tę sprawę omówić osobno z kapitułą gnieźnieńską.

Trudność to nielada. Lecz arcybiskupowi udało się ją pokonać; za jaką cenę, niełatwo dziś orzec. Wiadomo z dokumentu erekcji [2]) kapituły kolegiaty łowickiej, iż Jastrzębiec sam się trudził, ażeby osobiście stanąć w Gnieźnie na początku roku 1433. W dniu 25 kwietnia tegoż roku wziął udział w uroczystym posiedzeniu kapituły. Kapitularz gnieźnieński był wtedy świadkiem, niebywałego w dziejach archidiecezji gnieźnieńskiej wydarzenia. Sędziwy, bo blisko siedemdziesięcioletni arcybiskup przedstawił jeszcze raz swoje motywy skłaniające go do erygowania kapituły łowickiej. Motywy w dosłownym tłumaczeniu dokumentu erekcyjnego tak brzmią:

„Postawieni — oświadczył Wojciech Jastrzębiec — na wyniosłym wizerunku czujności pasterskiej, gdy krokami usilnej staranności obiegamy cały okrąg obowiązków w trosce o wszystkich, nad którymi raczyły nas uczynić zwierzchnikiem niezbadane, a pełne dla nas obaw, wyroki Boże, ciągle staje przed oczyma serca naszego ciężki obowiązek ponad siły naszej możliwości, włożony na słabe barki nasze. Zdumienie więc przygniata, a lęk wstrząsa naszą duszą... Kiedy inni przeto pod tak szczególnym ciężarem zmuszeni są żalić się, że męczy ich nieznośny trud częstych obowiązków i szukają pociechy w pomocy, mając na uwadze rozwagę, należy pomyśleć, jakimi trudnościami uwikłani jesteśmy, jakimi trudami dotknięci, albo jakimi troskami przygnieceni, gdy zawsze musimy zwracać uwagę w codziennej trosce na wszystkich poddanych nam z prawa diecezjalnego i to nas tak bardzo przeraża, gdy przypominamy sobie, jak wielki pozostaje nam zdać rachunek nie o własne już tylko, i tak zagrożone, lecz o zbawienie innych. Stąd to jest, że gdy potrzeba odległych przestrzeni

[1]) Patrz: „Powstanie kapituły św. Jana przy zamku XX. mazowieckich w Warszawie“, ks. Kwiatkowskiego, Warszawa 1938 r. Rozdz. II.

[2]) Dokument erekcji ogłoszony drukiem: Jan Łaski, Liber beneficiorum, Gniezno 1881, t. II, str. 507 — 516.

łowickiego, rawskiego, i łęgonickiego, okręgów diecezji naszej gnieźnieńskiej, oddalonych od metropolitalnego naszego Kościoła i Kolegiat, domaga się i wzrastająca liczba powierzonego nam ludu w tychże okręgach żyjącego radzi, a gorliwość o zbawienie dusz przynagla, jakkolwiek czego innego to dotyczy, tym, którymi kieruje opieka nasza ludom i ich wygodzie okazujemy troskę jak również w żarliwości pasterskiej usiłujemy wyrazić dbałość o żyjących mieszkańcach w tychże okręgach. Osądziliśmy, że przystoi do uczestnictwa w rządzie powołać dla nas współpracowników dzielnych, z pomocą których uniknęlibyśmy błędów i otrzymali wsparcie ich pomocy, a lud miałby zapewnioną w wątpliwościach opiekę pod ich przewodnictwem, postępując zaś przez pastwiska zbawczego pożywienia, zasłużyłby sobie wejść do przybytków Bożych, ażeby używać szczęścia z mieszkańcami nieba w krużgankach wiecznej ojczyzny".

W nucie tych słów gorliwego pasterza brzmiała skądinąd groźba uszczuplenia prerogatyw kapituły gnieźnieńskiej. Mówi się bowiem o powołaniu współpracowników dzielnych dla arcybiskupa („cooperatores strenuos"), jakby zapomniano o prałatach i kanonikach metropolitalnych roszczących sobie prawo do tej funkcji. Czyżby ci pozwolili dobrowolnie na to, co godzi w podstawy ich autorytetu moralnego? To też ciężki trud przypadł zebranym prałatom i kanonikom w Gnieźnie. Radzili co począć: Przedwój prepozyt i Jan dziekan. Głowili się także nad tą sprawą: Jan kantor, Andrzej scholastyk i Jan kanclerz. Myśleli kanonicy: Mikołaj Górka, Mikołaj Jarocki, Adam z Bądkowa, Mikołaj Broniski, Benedykt oficjał, Paweł Giżycki, Maciej Chłapowski, Jan z Niwierza, — Adam Łojka i Piotr Pniewski. Nikt przecież nie śmiał przeciwstawić się zamiarom Jastrzębca, chociaż nie brakło pewnych zastrzeżeń wysuniętych w trakcie debaty, które ujęto następnie w formę umowy między arcybiskupem a kapitułą gnieźnieńską. Umowa miała gwarantować tej ostatniej pierwszeństwo przed nowo powstałą kapitułą kolegiacką. Ostatecznie uświadamiano sobie, że nowa kapituła w rzeczywistości ma zająć najbliższe stanowisko przy boku arcybiskupa w Łowiczu.

Dlatego prawdopodobnie z bólem serca musiano słuchać decyzji Wojciecha Jastrzębca, kiedy ten w poniższy sposób kazał ją ująć notariuszom w dokumencie erekcyjnym:

„Ponieważ przeto miasto czyli miejscowość łowicka przynależąca do wyżej wspomnianego Kościoła i diecezji, sławna jest z wielkiej liczby ludności i uważa się za dającą większe korzyści ku wygodzie życia ludzkiego w tamtych stronach i ponieważ Kościół parafialny N. M. P. w tymże mieście i miejscowości, przynależący do naszej kollacji, prowizji i każdej dyspozycji w uposażeniu swoim tak obfituje, że jego korzyści, dochody i zaopatrzenie mogłyby wystarczyć na odpowiednie utrzymanie bardzo licznych sług, dlatego po zawarciu uroczystego traktatu z czcigodnymi braćmi naszej Kapituły gnieźnieńskiej, i po dokładnym jego zbadaniu, o ile rodzaj tak wielkiej sprawy wymagał, rzeczony Kościół N. M. P. ustanowiliśmy i erygowaliśmy Kolegiatą na większą cześć, sławę, i chwałę wszechmocnego Boga Ojca i Syna i Ducha św., oraz jego Najświętszej Marji Panny Bogarodzicielki, pod której wezwaniem sam Kościół specjalnie fundowany i erygowany istnieje, a także na pomnożenie kultu Bożego i zbawienie narodu chrześcijańskiego, Kościół ów tytułem wyższego dostojeństwa przyozdobiliśmy i jako taki ustanawiamy, wynosimy i przyozdabiamy na mocy tych listów, polecając, aby potem i na przyszłość nazywał się Kolegiata i za taki uważany był, ażeby używał i cieszył się wszystkimi swobodami, immunitetami, przywilejami, łaskami, indultami, egzempcjami i innymi prawami, jakich inne kościoły kolegiackie naszej prowincji i diecezji gnieźnieńskiej używają i cieszą się.

Ażeby zaś życzliwość naszych zamierzeń względem Pana była doprowadzona święcie do skutku i ażeby Kościół sam dla jego ozdoby i kierownictwa, tytułem Kolegiaty obdarzony był należycie godnościami, osobistymi obowiązkami, kanonikami i innymi tytułami urzędów, przeznaczonymi dla osób w nim ustawicznie Panu służących, i aby w nim ustanowione były beneficja oraz prabendy, dane na potrzeby sług ołtarza, mające trwać zawsze, jak prepozytura, dekanat, kustodiat i 10 kanonikatów z taką samą liczbą oddzielnych prebend i 2 także oficja kaznodziejskie w tymże Kościele, który wakuje już to dlatego, że czcigodny mąż mistrz Strzeszko, ostatni rektor tegoż Kościoła, otrzymując ową scholasterię kościoła kolegiackiego Najświętszej Marji w Łęczycy we wspomnianej diecezji naszej, (ta bowiem godność w samym kościele łęczyckim przez nas została mu ofiarowana powagą ordynariusza i jest już objęta w posiadanie), już to dlatego nawet, że

przez rezygnację tegoż Strzeszki w ręce nasze dobrowolnie złożoną i przez nas dopuszczoną i przyjętą, kościół ten jest wolny, obecnie na nowo nim zarządzamy i zaopatrujemy go w plony, dochody, majątki, posiadłości, prawa i przyległości własne niżej opisane, dajemy nowe urządzenia i kładziemy jak gdyby pod nim właściwe podwaliny".

(c. d. n.)

Ks. Wł. Kwiatkowski.

Od Jan-ce-kiangu do Me-kongu.

Karawana samochodów była gotowa do drogi. Przed południem mieliśmy zwiedzać Szan-haj, głównie jego dzielnice chińskie.

Zawieziono nas do wielkiej herbaciarni, stojącej na wodzie, ale nic tam nie było interesującego.

Ciekawiej się przedstawiał pałac mandaryna, zwłaszcza jego ogród. Były tam sztuczne skały, kioski, smoki i tym podobne osobliwości, spotykane, jako malowidła, na pudełkach od herbaty.

W pałacu znajdowała się wystawa biżuterii jadeitowej na sprzedaż. Jadeit jest to przeświecający zielonkawy minerał, znajdowany w Birmie i Turkiestanie. Dawniej mieszano go z nefritem. Jego nazwa pochodzi od hiszpańskiego wyrazu „ijada" (miękkość), bo wycięty ze skały początkowo jest miękki, a potem robi się bardzo twardy.

Naszyjniki, bransoletki, broszki, różańce buddyjskie, figurki z jady wszystko można było kupić za gotówkę. Dawniej z tego minerału wyrabiano nawet sztuczne gałki oczne dla ślepych.

Jadeit jednak wszędzie w Chinach tak kosztuje drogo, że nie bardzo się opłaca nabywać jego preparaty. Jest to raczej chiński kamień narodowy, więc niech się nim Chińczycy delektują obok zupy z gniazd jaskółczych.

Wtem zrobił się wielki gwałt przy tej jadzie. Stoi zmieszany tłum europejsko-chiński, a wśród niego uwija się żółty policjant w czapce z białym lampasem. Kijem zrzucił z głowy jakiemuś Chińczykowi hi-mauz (myckę), a ten się zalewał łzami. Musiał oczywiście coś przeskrobać! Ciekawy jestem z jakich stron pochodził ten policjant?

Jeździł z naszą karawaną pewien młodzieniec także żółty, którego początkowo uważałem za posługacza i powierzyłem mu raz jakąś czynność lokajską. Wytłomaczył mi, że jest konduktorem naszej ekspedycji. W automobilu siadał na koźle, co rzeczywiście wyglądało, jak gdyby nas prowadził. Odtąd spoglądałem na niego z większym szacunkiem. Wtem w pałacu mandaryńskim tak go policjant popchnął bez ceremonii, że aż się zatoczył. Jego prestige w moich oczach znowuż się trochę obniżył.

Pojechaliśmy do bazaru chińskiego. Tam było się czemu napatrzeć. Chińczyk w sklepie czuje się jak ryba w wodzie. Gdyby nawet ktoś nic nie kupował, to opłaci mu się samo obserwowanie sprzedawców. Nie narzucają się, nie są nerwowi, ale odrazu wiedzą ile wziąć za towar od danego klijenta.

Wyroby chińskie słyną z precyzyjnego wykonania ręcznego. Dłubanie jakimś narzędziem stanowi pasję Chińczyka. Aż żal tej pracy, trwającej nieraz bardzo długo, jeżeli się widzi jakiś drobiazg, nawet zabawkę.

Podziw budzą wyroby z kości słoniowej i hafty. Zachwycony wprost byłem pięknością kimon, wystawionych na sprzedaż. Co za bogate i pomysłowe rysunki!

I kto haftuje dla tych sklepów? Biedne dziewczęta chińskie. które pracują cały miesiąc za nasze cztery złote. Oprócz tego liczy się jeszcze jedzenie, ale wiadomo, że pokarm biedoty tamtejszej redukuje się do ryżu i jarzynek, wyławianych pałeczkami.

Na targowisku były tłumy ludzi. Co jakiś czas przesunął się pomiędzy nimi jakiś okropnie wyglądający żebrak.

Nowy Rok trwał w dalszym ciągu aż do pięciu dni. Dawnymi laty rozciągał się na dwa tygodnie. Sprzedawano latarnie kolorowe, trójzęby i małe halabardy, widocznie z tym świętem związane.

Lata chińskie łączone są w cykle, po dwanaście każdy. Poszczególny rok nosi miano jakiegoś zwierzęcia. Tysiąc dziewięćset trzydziesty siódmy nazywał się byczy. Następują po nim: tygrysi, zajęczy, smoczy, żmijowy, koński, barani, małpi, koguci, psi, świński i mysi.

Każdego roku drożeje jedzenie spożywane przez bydlę, któremu rok jest poświęcony. W obecnym jednak tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym, czyli tygrysim, mięso ludzkie wyjątkowo tutaj jest bardzo tanie. Pomyśleli o tym Japończycy!

Po południu była znowu włóczęga samochodami po mieście. Koncesje zagraniczne przypominają Paryż i Nowy York, dlatego Szan-haj wywiera raczej europejskie wrażenie. Na Bubbling Well, albo Nanking Road, czy na Avenue Joffre tylko tłum uliczny robi Chiny. W Koncesji Francuskiej policja składa się z Annamitów, co również przypomina Wschód Daleki.

Zawieziono nas gdzieś na peryferie. Zobaczyliśmy nareszcie pagodę Lungwha Budda o siedmiu kondygnacjach. Nie było zresztą przy niej widać żadnego ruchu religijnego.

Przez drogę stały trzy stylowe pawilony innej pagody, a na obszernym jej dziedzińcu ćwiczyło się wojsko. Z powodu zimna żołnierze mieli watowane mundury i wykonywali pruski Parade-Marsch, wysoko zadzierając nogi.

Biedna armia Czang-Kaj-Szeka! Ciągle się cofa i pewnie niedługo podda Han-kou.

Mówiono mi teraz, że zdenerwowani wojną Chińczycy, robią się coraz odważniejsi względem Europejczyków. Konsulowie Generalni w Szan-haju zwrócili się do sztabu wojsk chińskich, żeby rozgrywki z aeroplanami bombowymi nie odbywały się nad Settlement i Koncesją. Komenda odpowiedziała: jesteśmy u siebie i będziemy walczyli, jak nam wypadnie, to nie rok 1843.

Szoferowie nasi poddali gazu i pędzimy błyskawicznie przez pola do miasteczka Zi-ka-wej, oddalonego cztery mile od Szanhaju.

Jego główną atrakcją jest słynne obserwatorium meteorologiczne obsługiwane przez Jezuitów.

Miasteczko leży nad małą rzeką, po której pływały barki.

Poszliśmy do kościoła, gdzie było całodzienne wystawienie Najświętszego Sakramentu. Mali Chińczycy adorowali Sanctissimum przy wielkim ołtarzu, a kilku dorosłych modliło się w ławkach. Jeden odmawiał różaniec, reszta zaś trzymała książki do nabożeństwa, ale mieli hi-mauzy (czapki) na głowach. Widocznie w Chinach jest taki zwyczaj.

Kościół posiada styl gotycki i wygląda zupełnie jak nasze świątynie europejskie. Sądzę, że byłoby dobrze wznosić takie domy Boże w porządku chińskim. Niechby cały naród tutejszy rozumiał, że one w przyszłości mają zastąpić mu pagody, których styl wyszedł z chińskiego poczucia estetycznego.

Chrześcijaństwo pierwszych wieków zamieniało templa rzymskie i greckie na kościoły Boga jedynego prawie nie przerabiając ich na zewnątrz.

Kiedy Jezuici przybyli w 1873 r. do Chin, to swoją główną kwaterę założyli w małej wiosce Zi-ka-wej. Podtrzymując tradycje swoich poprzedników z XVII wieku wznowili tutaj studia matematyczno-fizyczne.

Od tego czasu pobliski Szan-haj stał się kolosalnym miastem, Zi-ka-wej się rozszerzyło i nastąpił większy podział pracy naukowej.

W Zi-ka-wej pozostała stacja meteorologiczna, na górze w Zo-se pobudowano obserwatorium dla astronomii, a w Loh-kapang instytut fizyczny.

Ze względów praktycznych najbardziej zasłużone są zakłady poświęcone meteorologii. One badają ruchy atmosfery i ostrzegają ludność i okręty przed tajfunami.

Ten wyraz pochodzi od chińskiego „ta-fung" i oznacza mały cyklon, dostateczny jednak do przewracania domów, wyrywania drzew z korzeniami, topienia okrętów i zabijania ludzi.

Tutejsza stacja należy do największych na świecie i jak jest potrzebna świadczy o tym duża subwencja wypłacana jej co roku przez Szanhajską Izbę Handlową w imieniu żeglugi oceanicznej.

Jezuici robili nam pokazy. Takie samo zresztą obserwatorium widziałem w Manili na Filipinach.

W Zi-ka-wej znajduje się drukarnia, warsztaty przemysłowe, pracownia malarska, odlewnia dzwonów, a z instytucji dobroczynnych wielki zakład dla sierot chińskich.

Parafia w Zi-ka-wej ma pięć tysięcy katolików. Pytałem, czy są gorliwi w wierze? Odpowiedziano mi, że nie można im nic zarzucić.

Chińczycy nie posiadają wyrazu „poganin". U nich człowiek jest albo fun-diau (chrześcijanin), albo pu-fun-diau (nie chrześcijanin). I trzeba to brać dosłownie.

Skoro się zostało katolikiem, to się nim jest pod każdym względem.

Przykładem tego może być Loh-Pa-Hong. Ah! biedny mój Loh-Pa-Hong, zabity w tym roku przez fanatyka chińskiego, kiedy sprowadzał ryż dla ubogich, dotkniętych wojną.

Wychował się w pogaństwie. Mając lat dwadzieścia dwa zaczął odwiedzać zakłady naszych Sióstr Miłosierdzia i nie tylko się ochrzcił, ale odtąd życie swoje poświęcił Bogu i nędzy ludzkiej. Sam osobiście bardzo bogaty oddawał miliony na dobre cele, żyjąc skromnie a nawet ascetycznie.

Założył rodzaj zakonu dla świeckich. Jego członkowie mają trzy lata nowicjatu, co dzień odprawiają medytację, rachunek sumienia i czytanie duchowne. Co tydzień przełożony kontroluje prace apostolskie członków.

Ledwie się to stowarzyszenie dowiedziało o powodzi w Szantungu już było na miejscu, a chodziło tam o 40.000 ludzi. Normalnie wspiera około sześciu tysięcy ubogich.

Staraniem Loh-pa-honga w 1935 r. powstał Mercy Hospital, pod wezwaniem Matki Boskiej, przeznaczony dla chorych nerwowych i obłąkanych.

Jego zakon ostatnio nosił się z zamiarem założenia szkoły przemysłowej z medycyną dla tysiąca dziewcząt.

W roku 1937 obchodził dwudziesto-pięcioletni swój jubileusz. W ciągu tego czasu organizacja Loh-pa-honga wydała miliony dolarów na dobroczynność i 300.000 Chińczyków ochrzciła.

Jak się jest katolikiem, to się nim jest w całości. Albo fundiau, albo pu-fund-diau!

W Zi-ka-wej pierwotnie był głośny uniwersytet Aurora, prowadzony przez Jezuitów. Obecnie znajduje się w Szan-haju. Ma wydziały prawa, matematyki i przyrody, medycyny, inżynierii cywilnej, chemii i elektrotechniki.

Na prawie profesorem jest p. dr. Krysiński, radca naszego poselstwa, który swoją pensję profesorską oddaje polskiej misji w Szun-teh. Czy my Polacy nie kochamy się wzajemnie?

W końcu nasza karawana pojechała do Civic Center, tego nowego miasta, budowanego pod samym Szan-hajem na wzór Koncesji europejskich, ale przez Chińczyków i w stylu chińskim.

Naprawdę jest co podziwiać! Wszystko zostało zakrojone na modłę nowożytną z zachowaniem piętna narodowego.

Na środku stoi wysoki pomnik Sun-Yat-Senga, prezydenta rządu narodowego, jednego z pionierów odrodzenia Chin. Ubrany jest w kimono, ale w ręku trzyma, zamiast mycki mongolskiej, kapelusz europejski. Jedno i drugie posiada znaczenie symbolu.

Błąkaliśmy się jeszcze trochę po asfaltowanych szosach, wśród pól zielonych, wymijając suche drzewa zimowe. Pokazały się jakieś wille w ogrodach, to znowu pokrzywione dachy zabudowań chińskich i zniknęły za nami jak senne marzenie.

Trzeba było wracać do miasta i złożyć umówioną wizytę naszemu p. Ambasadorowi.

Przybyłem na Route Pichon 83, i odrazu znalazłem się jak w kraju. Poselstwo, przedstawiciele rodaków szanchajskich i nasza Polonia z okrętu — wszystko się zmieszało w serdecznym gwarze.

Państwo Ambasadorostwo stworzyli taką miłą atmosferę towarzyską, że się zapomniało o Dalekim Wschodzie i żółtej Azji. Nawet służba miejscowa, przybrana w białe i czerwone barwy, nie psuła kolorytu.

Umawiano się o wspólne nabożeństwo w niedzielę i zebranie wszystkich Polaków w kasynie na Bubbling Well.

Ks. Biskup Przeździecki wziął mnie do swego samochodu i wracaliśmy przez miasto do portu. Szan-haj oświecony elektrycznością, olbrzymi i bogaty huczał zadowolony z siebie. Jego dusza odbijała się w nazwie jednej z ulic: „Billion Dollar Sky Line“ (Biliona dolarów linia nieba). Nie wiedział tylko, że na tym niebie tajemnicza ręka zaczęła już pisać: mane, tekel, fares.

II. Han-czou i Su-czou.

Pod wieczór 11 lutego pojechaliśmy na dworzec Północny po to, żeby się udać na południe do Han-czou.

Dostaliśmy wagon pierwszej klasy, jak przystało na europejczyków. Były miękkie skórzane ławki, a pomiędzy nimi stoły do jedzenia. Pociąg nie miał wagonu restauracyjnego, tylko kuchnię i na żądanie stamtąd przynoszono potrawy.

Czekały nas cztery godziny drogi. Ściemniło się i zaczął deszcz padać. Były tam jakieś stacje Sung-kiang, Kia-hing i tym podobne, ale zmrok nie pozwalał robić spostrzeżeń przez okno.

Czując, że towarzystwo się nudzi i jest głodne, szef naszej karawany postanowił wszystkim zafundować obiad.

Wbrew chińskiej etykiecie, stół nakryto białym obrusem. Biały kolor w tych stronach uchodzi za żałobny i gdyby Cińczyk

znalazł się w naszym położeniu, myślałby, że go kucharze chcą otruć i przygotowali mu całun do trumny.

Potraw, jak na stosunki tamtejsze, było niewiele, zaledwie jakieś dziesięć, ale za to porcje nam wymierzono europejskie.

Zacząłem jeść, uważając, czy mi z zupy nie wyleci jaskółka, albo sznycel nie zamiaucze kocim głosem.

Prawdę powiedziawszy, wszystko było bardzo dobrze przyrządzone, lecz nie mogłem dokończyć obiadu, bo tego wszystkiego mieliśmy za dużo. Mogło samorzutnie nastąpić harakiri.

W końcu przyniesiono kawę. Okrzyk protestu wyrwał się ze wszystkich ust.

— Kawa w Chinach? Niesłychana rzecz! Potośmy przyjechali nad Jan-ce-kiang, żeby pić kawę?

— Słusznie, słusznie — odpowiedział żółty steward — powinna być herbata chińska!

Dano nam herbaty. Nie wiem, jakie było jej pochodzenie, bo kiedy lord Lytton zatrzymał się w Szan-haju, to na przyjęciu u bogatego Chińczyka poczęstowano go herbatą zagraniczną z mlekiem i z cukrem.

W przedziale wagonu do obiadu należało nas trzech Polaków i jakaś para bułgarska. Zaczęliśmy rozmawiać na temat herbaty.

Jej krzewy rosną dziko w Assamie, więc pewnie stamtąd pochodzi, chociaż uprawiana jest w Chinach, Japonii, Indiach i na Malajach.

Pytałem Chińczyka, jak się u nich herbata nazywa? Odpowiedział: „czha". Żeby to jednak wymówić prawidłowo, trzeba kichnąć.

Od tego pochodzi rosyjski wyraz „czaj" i prawdopodobnie łaciński „thea", zmieniony przez tych, którzy nie znali dźwięku „cz".

Japończycy herbatę nazywają „ćha".

Dowiedziawszy się o polskiej nazwie, Bułgarka zawołała: „o! to pochodzi od łacińskiego „herba!"

Widzę — odpowiedziałem, — że pani jest biegła w językach klasycznych.

Ja nie „kłasica", ja „reałka".

A pani mąż także „reałek"?

On skończył szkołę handlową.

To mógłby handlować herbatą.

Całe dla nas Polaków szczęście, że zanim zaczęliśmy pić wywar z „thea sinensis" już była w naszym kraju znana herbata z ziółek rodzimych. Dzięki temu nie przejęliśmy, jak Bułgarzy, wyrazu „czaj" od Moskali.

Trzeba by jednak usunąć z naszego języka „czajnik" i zastępować go stale przez „imbryk", co będzie lepiej pasowało do naszej kultury łacińskiej.

— W Han-czou też padał deszcz. Zajechały przed stacje automobile i zabrały nas w rejony nieznane po ulicach zalanych wodą i oświetlonych latarniami.

Chińczycy podziwiają wiersz swego wielkiego poety Wang Wei (urodzonego w 699 r. ponieważ należy do nieśmiertelnych więc o jego śmierci nie będę wspominał):

„W górach jest noc i deszcz pada,
Co drzewo — to wodna kaskada..."

Gdybym tak siedział w ciepłym pokoju przy herbacie i deszcz bębniłby mi w szyby, to może poczułbym natchnienie do poematu na cześć słoty. W tej chwili jednak ta woda budziła ogólną niechęć. Jeżeli do jutra nie przestanie padać, to co będzie z naszych wycieczek w okolice Han-czou?

Jechaliśmy dosyć długo, wreszcie mój automobil zaczął się wspinać na jakąś górę wśród drzew zamienionych na wodospady. Na czubku góry stał oświetlony „Hotel jeziora".

Przypomina się Lamartine i angielscy poeci z epoki Coleridge'a...

Z hotelu wypadła do nas cała gromada Chińczyków z parasolami i uroczyście wprowadziła gości do westibulu.

Dostałem bardzo ładny pokój z łazienką i z widokiem na jezioro. W nocy za to tak było zimno, że nakryłem się wszystkim, co miałem pod ręką.

Najcieplejsza atmosfera panowała w łazience. Tam zastałem francuza, chodzącego po ścianie. Że go też Chińczycy nie zjedli z kwiatem lotosu? Musiał widocznie stanowić żywy zapas, tak jak się u nas przechowuje raki w pokrzywach.

Na drugi dzień był przymrozek i zrobiło się sucho. Po śniadaniu dano nam znać, że czas jechać. Poszedłem na taras. Nie było przed hotelem ani jednego samochodu, za to widzę, że pod

górę pędzi chmara Chińczyków i niosą dla nas lektyki, tak zwane „cze-czaje“. Mieli nas żywi ludzie dźwigać po okolicy na ramionach!

Wzdrygnęła się przed tym natura europejska, ale, co było czynić? Iść na piechotę znaczyło pozbawić Chińczyków zarobku, porcji ryżu na obiad i na kolację oraz narazić się na ich śmiech jako nędza bez grosza. Oni zresztą patrzą na konie i samochody jak na niebezpiecznych dla siebie konkurentów.

Musiałem się poddać konieczności i siadłem w lektykę. Dwóch żółtych tragarzy mnie niosło, a dwóch było w rezerwie i zmieniali się dosyć często. Trochę im potem zlazłem i szedłem pieszo, żeby sobie odpoczęli.

Przybyliśmy wreszcie do gaju bambusowego, gdzie znajdowała się świątynia taoistyczna.

Chińczycy pierwotnie czcili jedynego Boga, najwyższego, panującego, zwierzchnika nieba, ziemi i wszelkich żywiołów. Nazywali go Ti, albo Czang Ti. Może śladem jego kultu jest Szanhajska świątynia Wen-miao (templum literatury) zupełnie nie mająca posągów.

W 603 r. przed Chr. z ubogich rodziców przyszedł na świat niejaki Li. Urodził się z siwymi włosami na głowie i dlatego później dano mu imię Lao-ce (Dziecię-starzec).

Jest to najdawniejszy znany nam filozof chiński. Jego spekulacje obracały się w dziedzinie ontologii, etyki i polityki.

Przyjmował dawne pojęcie Boga Ti, lecz sądził, że przed Ti istniał byt pierwotny, odwieczny, absolutny i powszechny, który dał początek niebu i ziemi. Jest to, podług niego, odradzająca się ciągle siła przyrody, sama natura. Lao-ce nazwał ją Tao, stąd jego system otrzymał miano taoizmu.

W polityce przypisywano mu, że chciał naród pozbawić oświaty, gdyż tylko przez rozbrat z nauką uwalnia się człowiek od cierpień.

Etykę Lao-ce oparł na rodzinie, przy tym od kobiety żądał, żeby była cicha i spokojna (łatwo powiedzieć!).

Nauka Lao-cego miała za dużo elementu spekulatywnego dla Chińczyków. Jego uczniowie otoczyli go legendą, a taoizm — zabobonem. Wprowadzono kult potwornych duchów, mnóstwo istot boskich i ubóstwionych z dodatkiem szarlatanerii, chodzącej po ognistych węglach i połykającej gwoździe.

Świątynia taoistyczna pod Han-czou posiadała niewielką sadzawkę, a sam budynek — ładne złocone kolumny. Na środku stał złoty bożek z wyrażoną złością na obliczu. W jednej ręce trzymał kij, a w drugiej kółko. Do umeblowania świątyni należał wielki dzwon, olbrzymi bęben i grube czerwone świece.

Proszono nas, żebyśmy zdjęli kapelusze. Były też fotografie na sprzedanie.

Musieliśmy ruszyć w dalszą drogę. Sytuacja się pogorszyła, bo zaczął padać śnieg. Tragarze wzięli nas na ramiona i nieśli przez zatopione wodą pola ryżowe i zagony warzywa dobrze rozwiniętego. Zimny wiatr targał nami i śnieg sypał coraz gęstszy. W jesiennym palcie nie było mi zbyt ciepło.

Moi Chińczycy postawili lektykę na miedzy i poobwieszali mnie ze wszystkich stron ceratkami. Wewnątrz nie zrobiło się od tego cieplej, ale płatki śniegowe na ubranie wpadały tylko przez szpary. Nie mogłem zresztą narzekać na swoją dolę, bo tragarze mieli bose nogi i słomiane sandały. Dręczył ich też najoczywiściej katar, ale nie widziałem, żeby który używał chustki do nosa.

Spotykaliśmy po drodze chałupy wiejskie, kryte słomą, lub dachówką, bez kominów. W piecach dla ciepła tu nikt nie pali. Na zimę każdy się ubiera w watowany kaftan. Przez cały rok do całości biednego Chińczyka należy kołderka z waty (pei-ło). Można się w nią zawinąć gdziekolwiek i noc przespać. Do szczęścia już tylko jest potrzebny imbryk z gorącą herbatą.

Jako jedzenie po wsiach służy zwykle ryż. Zabiegliwa gospodyni trzyma także w chałupie beczkę, w której kisną rozmaite jarzynki. One dostarczają Chińczykom witamin i zabezpieczają ich przed chorobą beri-beri. Zamożniejsi jedzą szupin, grube placki obsypane ziarnkami, albo rodzaj tłustych faworków na oliwie.

Opowiadano mi, że w szanhajskim do spania przyjęły się teraz jaśki (czem-do), ale starej daty Chińczycy wolą sobie pod głowę na noc podkładać twarde kotki i pieski z porcelany. Nieraz w szpitalu nie chcą przyjąć poduszki.

Zamajaczyły góry. Echo przyniosło odgłos trąbki. Wojsko pewnie w pobliżu odbywało musztrę.

Mówiono mi, że w armii chińskiej stosowane jest bezlitosne bicie, niekiedy na śmierć. Bywały wypadki, że do misji polskiej

w Szun-teh przyczołgał się żołnierz po egzekucji bambusowej i nie dawało się go już uratować.

Ciągle będąc niesiony w lektyce, jak Petroniusz, przyjechałem do buddyjskiej pagody, nazywanej po angielsku Gems Springs of the Dancing Fish (Klejnoty źródła rybiego tańczenia). Byłem ciekawy jak wygląda rybi dancing?

W pagodzie stały dwadzieścia cztery posągi złocone. Na ołtarzu paliły się laski kadzidła i leżało jedzenie dla Buddy. W małym stawie otoczonym galeryjką, zobaczyłem skupione duże czarne i złociste ryby, ale napróżno czekałem, żeby zaczęły tańczyć. Musiało być im zimno, albo były głodne. Cyceron przecież powiada: nemo ieiunus saltat nisi forte insanit.

Ponieważ produkcja się nie udała, więc nie wiem dlaczego jakiś bonza chodził z tacką i zbierał pieniądze.

Zachęcano nas również, żebyśmy się zapisali w księdze pamiątkowej. W ten sposób przechodzi się do historii. Za pięćset lat, o ile księga nie zaginie, wszyscy będą wiedzieli, że taki a taki gentleman był w tej pagodzie i patrzył na ryby, które nie chciały tańczyć.

Jeden z naszych europejczyków zapragnął się uwiecznić i zostawił swój podpis. Wtedy mu dano do zrozumienia, że kto chce być sławny w przyszłości, ten musi obecnie zapłacić odpowiednią ilość sapeków.

Znowuż nas cze-czaiści dźwignęli w górę i byliśmy niesieni przez pola, wsie i lasy.

Drzewa po drodze w świeżej zieleni wyglądały wiosennie, ale najoryginalniej przedstawiały się gaje bambusów. Jedziemy brzegiem szerokiego strumienia jak gdyby w gęstwinie olbrzymich trzcin, i sitowia. Z dala widać góry o zamglonych wierzchołkach. W kwietniu tu musi być bardzo ładnie. Sądzę jednak, że kto dostał kiedykolwiek pięćdziesiąt bambusów w pięty, podług obyczaju chińskiego, ów na te zagajniki patrzy z pewną niechęcią.

Po wsiach czasami ktoś wyjrzał przez otwarte okno, bo tu szyby nie są w użyciu i widząc naszą długą karawanę lektyk obdarzał nas uśmiechem, który Chińczyk zawsze ma w zapasie.

Niekiedy mijaliśmy ładne stylowe zabudowania murowane, wyglądające jak dwory mandarynów.

Szedł drogą stary buddysta i odmawiał swój różaniec.

Tragarze stanęli wśród skał, zamienionych na pagodę. W głazach były powykuwane posągi, jeden złocony, pewnie samego Sakia Muniego z Kapilawastu. Niedaleko znajdowały się dwie olbrzymie pagody o świeżym wyglądzie, a w nich moc złoconych bałwanów.

Przed ołtarzem modlił się jakiś Chińczyk. Złożył ręce i robił ukłony nie zdejmując europejskiego kapelusza.

Mówiono nam, że jeden posąg wyobraża miłosierdzie, inny medycynę, inny jeszcze słońce...

Przed buddyjskim klasztorem Ling Yin kupowaliśmy, jako osobliwość, różańce z żółtym chwastem na końcu.

Po drodze zauważyłem pagodę, która uległa pożarowi. Czarne okopcone posągi sterczały z ruin.

Na szczęście szef naszej karawany odprawił lektyki i wsiedliśmy do samochodów. Znowu zaczął padać śnieg. Spojrzałem i widzę taki kontrast: białe płatki z nieba lecą na drzewo pokryte różowymi kwiatami. Nie było jednak bardzo zimno.

(c. d. n.)

Ks. T. Radkowski.

ŚWIATŁA I CIENIE

(Ojciec Święty rozpoczął 82-gi rok życia. — Piękne uczczenie działalności papieża Piusa XI-go. — Największa na świecie religijna statua. — Od medycyny do kapłaństwa. — Nowa radiostacja katolicka. — Pismo międzynarodowej komisji „Pro Deo" do Ligi Narodów).

Papież Pius XI, którego nadwątlone zdrowie wzbudzało tyle niepokojów w ciągu ubiegłego roku, osiągnął w d. 31 maja 81 lat życia. Pomimo swej niedawnej choroby Najwyższy Pasterz mężnie dźwiga ciężar swego podeszłego wieku i przygniatające brzemię działalności, która zasięgiem swym obejmuje całe chrześcijaństwo. Nie ma dnia, by Ojciec Św. nie udzielał posłuchania i błogosławieństwa grupom pielgrzymów, przybywających ze wszystkich części świata, przyjmowanych z jednakową łaskawością w „Domu Ojca". Często papież bierze udział w ceremoniach i uroczystościach bazyliki św. Piotra, sprowadzających zawsze wielkie fizyczne wyczerpanie.

Ogólne zdumienie wzbudza doskonała jasność myśli, z jaką Ojciec Święty porusza i omawia najtrudniejsze problemy, jak również gruntowna ich znajomość.

Przemówienie papieża przy zakończeniu Kongresu eucharystycznego w Budapeszcie odczytane czystym, nie zmęczonym głosem świadczy o przedziwnej, fizycznej odporności, która zresztą wywołuje podziw wszystkich, co mają możność i szczęście zbliżenia się do Jego Świątobliwości.

Pius XI nieustannie śle wezwania do świata, nawołujące do potęgowania uczuć wiary i chrześcijańskiego miłosierdzia wobec gróźb przesłaniających horyzont Europy i wobec wyniszczających wojen w Hiszpanii i na Dalekim Wschodzie.

Wśród rozlicznych trosk znajduje Ojciec święty pocieszenie w rozwoju misyjnej działalności, którą od początków swego pontyfikatu otaczał najtroskliwszą opieką.

Cały świat katolicki w 82-ą rocznicę urodzin zanosił gorące modły do Boga o najdłuższe życie dla opatrznościowego iście na dzisiejsze czasy Sternika Piotrowej Nawy.

* * *

W cieniu czcigodnej, starożytnej Bazyliki św. Ambrożego, na dziedzińcu im. Leona XIII Katolickiego Uniwersytetu w Mediolanie odbył się niezmiernie ciekawy i piękny obchód, który Ojciec Św. w przesłanej depeszy nazwał „szczęśliwą inicjatywą“. Kardynał, arcybiskup Mediolanu poświęcił osiemnaście dzwonów, ofiarowanych na upamiętnienie encyklik papieża Piusa XI. Inicjatywę tego oryginalnego hołdu należy zawdzięczać Oblatom Chrystusa-Króla. W intencji obchodu kapłańskiego jubileuszu Ojca Św. wznieśli oni w Sestri-Levante (prow. Liguria) sanktuarium, poświęcone Chrystusowi-Królowi i Królowej Niebios. Brak było dzwonu. Ofiarowały go religijne organizacje parafialne katolickich Włoch, jako wyraz czci i miłości dla Najwyższego Pasterza.

Najpierw dzwon poświęcony encyklikom, tyczącym się Akcji Katolickiej — hołdowniczy dar otoczenia papieża, centralnej Rady i generalnych asystentów włoskiej Akcji Katolickiej. Dzwon mariański „Lux veritatis i Ingravescentibus malis“ — to dar bractw różańcowych. Mężczyźni i niewiasty — członkowie i człon-

kinie Akcji Katolickiej upamiętnili encyklikę o małżeństwie chrześjańskim dzwonem „Casti Connubii". Dzwon „Mens nostra i Ad catholici sacerdotii" jest wyrazem wdzięczności duchowieństwa włoskiego za encykliki o kapłaństwie i ćwiczeniach duchownych. Dzwon misyjny „Rerum Ecclesiae" wypowiada wdzięczność Unii Misyjnej kleru i włoskich misyjnych instytutów. Następny dzwon przypomina encykliki o Kościele i chrześcijańskim Wschodzie: „Ecclesiam Dei, Mortalium animos, Rerum orientalium".

Dzwon obok niego reprezentuje magistralne encykliki społeczne: „Quadragesimo Anno, Nova impendent, Divini Redemptoris" — wyraz uznania Katolickiego Instytutu Włoskiego działalności społecznych, uniwersyteckich Stowarzyszeń Akcji Katolickiej i konferencji św. Wincentego à Paulo. Młodzież żeńska Akcji Katolickiej i katolicka Centrala kinematograficzna ofiarowały dzwon „Divini illius i Vigilanti Cura" ku upamiętnieniu encykliki o wychowaniu i Listu o sztuce kinematograficznej. Nie mogło zabraknąć dzwonu wiedzy: dar katolickiego Uniwersytetu w Mediolanie, seminariów Rzymu i Lombardii; wyraża on cześć za encyklikę o św. Tomaszu z Akwinu i za nową konstytucję Uniwersytetów i wydziałów kościelnych. Dziennikarze, pisarze i wydawcy katoliccy są reprezentowani przez dzwon poświęcony encyklikom o św. Franciszku Salezym i św. Augustynie. Kolejny dzwon przypomina encykliki o prześladowaniach w Meksyku, Hiszpanii, Niemczech. Tercjarze i Oblaci Chrystusa-Króla ofiarowali dzwon na pamiątkę encyklik o św. Franciszku z Assyżu i o stowarzyszeniah dziecezjalnych we Francji.. Pielgrzymi Rzymu, Lourdes i Palestyny ufundowali dzwon w hołdzie encyklikom: „Quinquagesimo anno, Quod nuper, Auspicantibus". Apostolstwo modlitwy poświęciło dzwon encyklikom o Najświętszym Sercu Jezusowym. Wreszcie cztery dzwony noszą imiona: św. Piusa V-go, Piusa X, Benedykta XV i Piusa XI.

Osiemnaście dzwonów-pamiątek, przybranych kwiatami, zawieszono pod portykiem. Po poświęceniu kardynał Schuster wygłosił piękną mowę, zaznaczając, że właściwie jest zbędne dołączanie jego słów do wymowy dzwonów, poświęconych encyklikom.

„Kiedy przemawia Namiestnik Chrystusa Pana, należy zamilknąć, rozważać Jego słowa, być im posłuszny. Głos mają en-

cykliki, którym poświęcone odtąd dzwony przypominają i będą przypominały w przestrzeni i czasie".

Podobnego charakteru wezwanie do słuchania głosu dzwonów stanowiło treść depeszy, nadesłanej w imieniu Ojca św. przez Mgr. Tardiniego: „Papież cieszy się ze szczęśliwej inicjatywy tego rodzaju upamiętnienia Jego encyklik. Dziękuje fundatorom za ich wyrazy synowskiej czci i przesyła im z całego serca apostolskie błogosławieństwo. Życzy jednocześnie, by symboliczny głos dzwonów wywoływał zbawienne oddźwięki, by dzwony te skutecznie przypominały wieczny głos mądrości Bożej — reguły sprawiedliwości i miłosierdzia, rękojmię doskonałej szczęśliwości.

Odtąd dzwony te umieszczone pomiędzy morzem a górami, pod lazurowym niebem Ligurii, będą opiewały encykliki Jego Świątobliwości papieża Piusa XI — dokumenty, o których da się powiedzieć to, co Ojciec święty oświadczył kiedyś o encyklikach papieża Leona XIII: „Obejmują one harmonijnie czynniki Boży i ludzki, jak wszystkie dokumenty, które pochodzą z ośrodka i serca Kościoła Bożego".

* * *

Mała mieścina, Mas-Rillier, położona w odległości kilku kilometrów od Lyonu, otrzyma za kilka miesięcy największą religijną na świecie statuę, poświęconą Matce Bożej Najświętszego Serca, dzieło rzeźbiarza Jerzego Serraz.

Pełna wysokość statui wraz z cokółem, tworzącym kaplicę, osiągnie 32 metry 60; wysokość samej głowy — trzy metry. Waga samej statui wyniesie 440 ton, całkowita zaś waga statui, cokółu i fundamentów — 1.500 ton.

Nabożeństwa dla pielgrzymów, zgrupowanych na esplanadzie, z której rozpościera się wspaniała panorama na Rodan i dalekie góry Sabaudii, będą się odprawiały w małej kapliczce cokółu.

Największe dotąd istniejące statuy, to: Najświętszej Panny Francji z Puy, odlana z dział zdobytych w Sebastopolu, — 16 metrów wysokości; statua Chrystusa Króla w Houches (w okolicach Chamonix) — 21 metrów; statua Chrystusa w Andach (Ameryka południowa) — 30 metrów.

* * *

Profesor Uniwersytetu lowańskiego, Juliusz Havet, który ukończył w tym roku 71 lat życia, wstąpił do zakonu oo. Misjonarzy, by resztę swych lat poświęcić medycznemu problemowi Misji. Courrier de l'Escaut opowiada etapy jego życia, które mistrza z dziedzin embriologii i histologii doprowadziły do ołtarza:

Prof. Havet, głęboko wierzący chrześcijanin, wypowiadał swą wiarę w miłości i miłosierdziu dla bliźniego. Przez długie lata był przewodniczącym konferencji św. Wincentego à Paulo, którą utworzył dla studentów medycyny.

Często powtarzał, że sami przez się niczem jesteśmy. Ubogie i nędzne byłoby przeznaczenie ludzkie, gdybyśmy nie dostrzegali Boga w wątku naszego życia. Na szczęście, łaska Boża przekształca wszystko w życiu nadprzyrodzonym; ubóstwia nas niejako i kształtuje naszą wielkość.

Doświadczenia życiowe nie oszczędziły prof. Haveta. W 1912 r. zmarła mu żona, wierna i oddana towarzyszka życia. Odtąd tym goręcej zajął się sprawami misyjnymi, którym poświęcał wszystkie wolne od badań naukowych chwile.

Po dwudziestu latach, kiedy widział zabezpieczoną przyszłość swych dzieci, odpowiedział wewnętrznemu wezwaniu i w 1933 r. przyjął święcenia kapłańskie. Przed kilku miesiącami, przy zakończeniu swej profesorskiej kariery, stosując się do życzenia Ojca św. przywdział habit zakonny. Potrzeby misji pod względem medycznym i higienicznym będą stanowiły przedmiot jego dalszej działalności.

* * *

10-y maja 1938 r. pozostanie pamiętną datą w historii katolickiego radia. W dniu tym bowiem w Hilversum rozpoczęło swą działalność nowe studio holenderskie „Katholicke Radio-Omroep'a". Przy budowie studia zastosowano ostatnie wynalazki z dziedziny radiofonicznej techniki.

Arcybiskup Utrechtu, dr. de Jong, w obecności nuncjusza apostolskiego, przedstawicieli holenderskiego episkopatu i licznych wybitnych osobistości katolickiej Holandii dokonał poświęcenia nowej radiostacji. Tegoż dnia po południu odbył się uroczysty seans inauguracyjny, w którym wzięli udział przedstawiciele zagranicznych organizacji radiowych i reprezentanci Katolickiego,

Międzynarodowego Biura Radiowego. Liczne depesze ze wszystkich stron świata przyniosły zredagowane w gorących słowach gratulacje, życząc owocnej współpracy dla dobra katolickiego radia.

Kardynał sekretarz stanu, Pacelli wystosował w imieniu Ojca św. długi list z życzeniami do Ojca Perquin, prezesa „Katholicke Radio Omroep". Podnosi w nim wysoką misję apostolską radia, jako „narzędzia jedności i pokoju, obrony prawdy i sprawiedliwości na terenie miłości i chrześcijańskiego braterstwa".

Ojciec święty szczególniej podnosi i ocenia zasługi „wspaniałego ducha misyjnego" katolików Holandii, który się wypowiada w fakcie, że katolickie radio holenderskie nie zapomina w swych programach o „dzielnych żołnierzach awangardy" — misjonarzach, pracujących w dalekich, obcych krajach.

* * *

Przewodniczący ostatniej sesji Ligi Narodów otrzymał następujące pismo:

Biuro międzynarodowej Komisji „Pro Deo", grupujące chrześcijan, należących do trzech głównych wyznań, uważa za wskazane zwrócić ponownie uwagę Ligi Narodów na niedopuszczalną sytuację w jakiej znajdują się chrześcijanie w Rosji Sowieckiej i w czerwonej Hiszpanii.

Wbrew zaprzeczeniom rządów Walencji i Barcelony prześladowania w stosunku do wierzących trwają nieprzerwanie na całym podległym ich władzy terytorium. Wykonywanie kultu stało się prawie niemożliwe; więzienia są przepełnione kapłanami i wiernymi, których męczeńskiej śmierci można każdodziennie oczekiwać.

W Związku republik sowieckich prześladowania religijne spotęgowały się w ostatnich miesiącach pod kierunkiem sowieckiego rządu. Ogólnie jest wiadome, że Trocki należy do zaciekłych wrogów religii: aresztuje się jednak i morduje duchownych na podstawie fantastycznych oskarżeń o porozumiewanie się z trockizmem. Dwaj biskupi i przeszło 200 kapłanów zostało aresztowanych, z tych kilku zamordowano. Tysiące innych zamknięto oddawna w sowieckich lochach bez nadziei, by zostali z nich kiedykolwiek uwolnieni. Władze prześladują tych, którzy mają odwagę

głosić Ewangelię, którzy chrzczą dzieci rodzin chrześcijańskich — co wszystko potwierdza urzędowy organ sowiecki „Prawda".

Jednocześnie związek wojujących bezbożników został zreorganizowany, a rząd sowiecki dostarcza mu wielkich środków dla spotęgowania jego propagandy. Tygodnik „Bezbożnik", który został zamknięty, ukazuje się ponownie, drukowany w wydawnictwie państwowym.

Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że w związku republik sowieckich i w czerwonej Hiszpanii rządy ponoszą całkowitą odpowiedzialność za obecne prześladowania religijne.

Jeżeli pakt Ligi Narodów obowiązuje mandatariuszów do zapewnienia całkowitej wolności sumienia i religii narodom, pozostającym pod ich władzą, jasne jest, że poszanowania tych samych wolności tym bardziej obowiązuje państwa-członków Ligi Narodów.

Mamy nadzieję, panie prezesie, że zechce pan zwrócić uwagę na tę kwestię i zastosować wszelkie właściwe środki, by położyć kres podobnej sytuacji. Sytuacja ta bowiem nie może być dłużej tolerowana przez chrześcijan, których poparcie jest bardziej niż kiedykolwiek potrzebne Lidze Narodów, jeżeli chce się usprawiedliwić jej rację istnienia.

Ks. J. Szm.

AKTA STOLICY APOSTOLSKIEJ

(A. A. S. nr. 6 z 10. V. 1938 r.).

Akta Ojca św. Piusa XI.

Uroczysta kanonizacja błog. Andrzeja Boboli, kapłana z Tow. Jezus., Jana Leonardi, założyciela zgromadzenia kapłańskiego od Matki Bożej, i Salwatora ab Horta, braciszka-laika z Zakonu Braci Mniejszych, odbyta w Bazylice Watykańskiej w dn. 17 kwietnia 1938 r. w uroczystość Zmartwychwstania Pańskiego.

Na prośbę usilnie (instanter) przedłożoną przez J. Em. ks. Kard. Kamilla Laurenti, Prefekta Św. Kongr. Obrzędów, za pośrednictwem adwokata Św. Konsystorza, Augusta Milani, w ten sposób odpowiedział ks. Antoni Baeci, Sekretarz Listów do książąt, w imieniu Jego Świątobliwości:

I. Podczas gdy gmach Piotrowy jaśnieje od niezliczonych pochodni a połyskujące jego sklepienie przypomina niebo gwieździste, i podczas gdy my wszyscy tu obecni przepełnieni jesteśmy pragnieniem tak radosnego zdarzenia które już jest bliskie, bezwątpienia, to samo pragnienie nurtuje w duszy Najwyższego Pasterza. Zapewne pragnie On bardzo, przychylając się do waszych próśb, przyznać powagą i wolą Boga najwyższe zaszczyty świętości trzem nieba mieszkańcom, których sprawę prowadzicie. Jeżeli bowiem nie ma takiego czasu, w którymby nie ozdabiał całodzianej szaty Kościoła katolickiego blask świętości, co jest niejako pieczęcią, po której się poznaje prawdziwą religię, to w naszym szczególnie wieku owe przejasne przykłady cnót wszelkich, które wydobywamy na światło zdają się mieć szczególną jakąś doniosłość i zdolność do pociągania ku sobie ludzi. Bo gdy tak wielu dzisiaj — nie pomnąc na niebo i wieczną szczęśliwość — pragnie pogrążyć się w przyjemności doczesnego życia i zwodnicze rozkosze, franciszkański zakonnik Salwator ab Horta uczy ich zamiłowania ubóstwa, anielskiej czystości duszy i dobrowolnego umartwiania niewinnego swego ciała; gdy szeroko po świecie rozprzestrzenia się z lenistwa pochodzące zaniedbanie prawd niebieskich i pewnego rodzaju wstręt do obowiązków chrześcijanina, Jan Leonardi pobudza wszystkich do gorliwego zachowywania nakazów religii katolickiej, do osiągania coraz to większej nieskazitelności obyczajów, wreszcie do rozszerzania królestwa Jezusa Chrystusa; gdy zaś ludzie zapominając o miłości bliźniego pospolicie „co ich jest, szukają“ [1]), mając na oku jedynie własne wygody i pożytki, a nic nie troszcząc się o zbawienie bliźnich, św. Andrzej Bobola, ów niezmordowany zapaśnik wojującego Kościoła i niezwyciężony męczennik, próżnujących zaprasza do wejścia na trudną drogę cnoty i — przelaną krwią swoją — do wysiłku apostolskiego. Jednakże Jego Świątobliwość chciałby, ponieważ o tak wielką rzecz chodzi, aby wszyscy połączyli się z Nim w kornej modlitwie do Boga, za przyczyną Bogarodzicy Dziewicy i całej kurii niebieskiej o obfite światło łaski dla Jego umysłu.

---

[1]) Por. Filip II, 21.

Po odśpiewaniu litanii do Wszystkich Świętych tenże sam kapłan na ponowioną usilniej (instantius) prośbę w ten sposób odpowiedział:

II. Już zbliża się to, czego gorąco pragnie cały świat Katolicki. Aby jednak wszystko odbyło się zgodnie z tradycyjnym zwyczajem, od przodków przejętym, Jego Świątobliwość zwleka jeszcze chwileczkę, ażeby Duch Święty był wezwany pokornie wszystkim znanym hymnem.

Tu odśpiewano zaintonowany przez Ojca św. hymn Veni Creator z odpowiednią oracją. Po czym na trzecią „najusilniej" (instantissime) złożoną prośbę taką otrzymano odpowiedź:

III. Oto teraz w skupieniu pochyliwszy czoła słuchajcie orzeczenia Piotra, mówiącego przez Piusa. Błysk ukrytego światła, z niebieskich pochodzący siedzib, przenika i rozjaśnia umysł Najwyższego Pasterza. Weselą się chóry niebieskie; Hiszpania, Polska, Włochy weselą się, przyozdobione nowymi blaskami świętości; raduje się cały Kościół wojujący, któremu przybywają w tak ciężkim położeniu nowi i potężni orędownicy u Boga.

Wtedy wszyscy wstali odkrywszy głowy, a Ojciec święty usiadłszy na katedrze z mitrą na głowie tak przemówił z pełni Apostolskiego urzędu:

Na cześć Świętej i Nierozdzielnej Trójcy, na podwyższenie Wiary katolickiej i rozszerzenie Religii Chrześcijańskiej, powagą Pana Naszego Jezusa Chrystusa, Świętych Apostołów Piotra i Pawła i Naszą po dojrzałym namyśle i niejednokrotnym wezwaniu bożej pomocy i za radą Czcigodnych Braci Naszych Kardynałów Świętego Rzymskiego Kościoła, Patriarchów, Arcybiskupów i Biskupów przebywających w mieście, orzekamy i określamy iż błogosławieni Andrzej Bobola Męczennik, Jan Leonardi i Salwator ab Horta są świętymi, wpisujemy ich do katalogu Świętych stanowiąc, iż pamięć ich winna być czczona pobożnie przez cały Kościół corocznie w dniu ich narodzin, to jest Andrzeja Boboli w dniu 16 maja między świętymi Męczennikami, Jana Leonardi w dn. 9 października i Salwatora ab Horta w dn. 18 marca między świętymi Wyznawcami nie biskupami.

W Imię Ojca, i Syna, i Ducha Św. Amen.

W uroczystej Mszy św. była wygłoszona Homilia Ojca Świętego, którą zamieściliśmy na początku numeru.

List Apostolski.

Motu Proprio o jurysdykcji Św. Kongregacji dla Kościoła Wschodniego.

Święty Kościół Boży, jakkolwiek już od pierwszego wieku chrześcijaństwa składał się z wiernych Wschodu i Zachodu, jest jednakże tylko jeden; dlatego też Papieże Rzymscy, jako następcy św. Piotra, księcia Apostołów, któremu Chrystus Pan powierzył władzę pasterzowania w owczarni Pańskiej, w każdym czasie troskliwą opieką otaczali wiernych ze Wschodu, aby zachowali oni i wiarę nieskazitelną i ścisłą karność i kwitnącą pobożność oraz kult liturgiczny, a przez to pozyskali coraz to większą pomyślność i rozwój.

Że jednak w ciągu wieków herezje, odszczepieństwa i długotrwałe najazdy oraz panowania niewiernych tak wycieńczyły narody Wschodniego Kościoła i prawie że je powaliły na ziemię tak, iż — dziwić się należy, że istnieją tam jeszcze, choć czasem aż do ostatnich granic już doprowadzone, ślady życia chrześcijańskiego; a dalej jeśli niektórzy powodując się zbytnio miłością jedności i zgody a nie rozumiejąc dobrze stosunków i natury Wschodu usiłowali ich święte obrządki zepsuć lub ich samych do łacińskiego obrządku sprowadzić — to jednak Papieże Rzymscy poprzednicy Nasi opierali się jak tylko mogli, nie szczędząc żadnych trudów. Starali się przede wszystkim ukrócić śmiałość heretyków i schizmatyków, wspomagać wszelkimi sposobami dzielnych obrońców wiary i jedności, niepewnych i wątpliwych w wierze utwierdzać, a odłączonych braci i synów i własnym słowem i przez legatów i misjonarzy doprowadzić gorliwie do jednej owczarni Jezusa Chrystusa. Podobnież nic nie zaniedbali, aby pustoszące Wschód najazdy, które tak szeroko rozlały się po ziemiach Wschodu dzięki niedbalstwu i niezgodzie władców, powstrzymać i odeprzeć wszelkimi możliwymi sposobami.

Ilekroć zaś Papieże powiadomieni zostali, że ktoś dąży do tego, aby wiernych wschodniego obrządku odwieść od swych liturgij lub zmienić coć w nich, potępiali zawsze te niewczesne próby i rozkazywali, aby obrządki wschodnie były zachowane w całości i szanowane. Uważają bowiem Papieże Rzymscy, że różnorodność liturgij, która wywodzi się ze szczególnych cech i uzdolnień narodów nie tylko nie sprzeciwia się jedności wiary

świętej i czci bożej, lecz raczej ozdabia ją chwałą i zaleca; albowiem z tego właśnie tytułu z łatwością można wnosić, że jedna i ta sama religia katolicka odpowiada doskonale naturze i zwyczajom różnych ludów i wydaje obfite owoce właśnie piękne dzięki swej różności. Dochodzi do tego jeszcze to, że poszczególne księgi liturgiczne różnych obrzędów w zależności od stopnia nieskazitelności swej z dawnych czasów świadczą niezbicie i jasno o przekazanej wierze, w której tajemnice i sakramenta w szczególny sposób dziś przez nowatorów atakowane przyjmowane były i pobożnie czczone w starożytności chrześcijańskiej.

Taką była w tym przedmiocie troska Papieży przed Soborem Trydenckim. Później zaś ustanowili oni specjalne kongregacje dla czuwania nad tymi rzeczami. I tak poprzednik Nasz ś. p. Grzegorz XIII, w drugim roku swego Pontyfikatu w tym właśnie celu, aby obrządki wschodnie bądź to zachować nieskażone bądź przywrócić je w razie potrzeby do dawnej świetności i aby przez to zwiększyć liczbę wiernych, którzy te obrządki zachowywali, założył „Kongregację od spraw Greków", którą Klemens VIII przemienił na „Kongregację dla spraw Wiary i Religii katolickiej" oraz powierzył jej troskę nie tylko o Kościół Wschodni, ale i starania o rozszerzanie wiary tak wśród ludów Zachodu, które popadły w błędy nowatorów, jak i wśród krajów, które niedawno odkryte zostały. A więc chociaż szło o specjalną Kongregację, która później słusznie została nazwaną Kongregacją dla Rozkrzewienia Wiary, to jednak miała ona powierzone sobie to samo zadanie, które Grzegorz XV powierzył później Kongregacji Generalnej przez siebie ustanowionej, t. j. zadanie „przełożeństwa nad wszelkimi misjami głoszenia Ewangelii i nauki katolickiej", i dlatego właśnie przeszła w nową Kongregację, założoną przez tegoż Grzegorza XV.

Ta św. Kongregacja odtąd była jedynym Urzędem Papieskim dla popierania Misyj gdziekolwiek by one były. Jednakże zważywszy na specjalne warunki prawne katolików Wschodnich, którzy znajdowali się pod panowaniem Turków oraz biorąc pod uwagę ich odmienną liturgię i administrację kościelną wkrótce okazała się potrzeba przekazania ważniejszych spraw tyczących się tych narodów specjalnym kongregacjom, które wchodziły w skład Kongregacji Generalnej „de Propaganda Fide". Dlatego też Urban VIII ustanowił Kongregację „super dubiis Orientalium" oraz drugą

„super correctione Euchologii Graecorum“. Tymi samymi zasadami kierowali się Papieże aż do Piusa IX, z wyjątkiem Klemensa XI, który chcąc dokonać poprawienia Euchologium i innych ksiąg liturgicznych Wschodnich, powołał do życia Kongregację „super correctione librorum Ecclesiae Orientalis“ jako stałą kongregację, oddzieloną od św. Rady de Propaganda fide.

Wyżej wspomniany poprzednik Nasz Pius IX chcąc aby sprawy tego rodzaju, mające znaczenie dla długich lat praktyki były rozważnie i gruntownie traktowane, założył nową kongregację, oddzieloną od Św. Kongreg. dla Rozkrzewienia Wiary. Nowa ta kongregacja, pod nazwą „Św. Kongr. dla Rozkrzewienia Wiary dla spraw Obrządku Wschodniego“ miała za zadanie załatwiać „wszystkie sprawy Obrządku Wschodniego chociażby były to negotia mixta to jest dotyczyły również Łacinników ze względu na swój przedmiot lub osoby“. Kongregacja ta jednak choć miała własny sekretariat i odrębnego sekretarza, pozostawała pod zwierzchnictwem jednego Prefekta z kongregacją de Propaganda fide, który też miał za zadanie kierować i rozgraniczać działalność jednej i drugiej kongregacji. Ponieważ zaś w ten sposób była poddana Św. Kongregacji dla Rozkrzewienia Wiary i zresztą jej nazwę zatrzymała, wydawało się niektórym, choć niesłusznie, że jest ona dodatkiem do tejże kongregacji a konsekwentnie, że katolicy Wschodniego obrządku są poddani pod jurysdykcję Łacinników i zrównani jakoby z heretykami Zachodu i niewiernymi.

Dlatego też poprzednik Nasz św. pam. Benedykt XV, pragnąc aby nawet pozoru nie było takiego podejrzenia, Listem Apostolskim „Dei Providentis“ czyli Motu Proprio z dn. 1 maja 1917 r. [2]) utworzył Św. Kongregację dla Kościoła Wschodniego zupełnie odrębną od Św. Kongregacji dla Rozkrzewienia Wiary. Aby zaś okazać szczególną troskę i przychylność dla wiernych Wschodniego obrządku postanowił, że prezesem tej kongregacji będzie sam Papież oraz, że Kongregacja ta otrzyma wszystkie uprawnienia, „które mają inne kongregacje dla spraw obrządku łacińskiego, z wyjątkiem praw Kongr. Św. Oficjum. Jednakże władze te ograniczył do spraw, które odnoszą się do osób lub do spraw albo obrzędów kościołów Wschodnich, chociażby to były sprawy t. zw. mieszane (mixta negotia) t. zn. takie które ze

[2]) Akta Ap. Sedis vol IX str. 529 sq.

względu na osoby lub swój przedmiot dotyczą również łacinników. W ten sposób wierni obrządku łacińskiego, mieszkający w krajach Wschodu chrześcijańskiego, pozostali nadal poddani św. Kongregacji dla Rozkrzewienia Wiary.

Ze względu na tę podwójną jurysdykcję było rzeczą poprostu niezmiernie trudną osiągnąć taką jedność rządu i sprawność administracji, jakie są potrzebne, aby jak najprędzej usunąć tarcia i niezgody, które łatwo powstają między wiernymi różnych obrządków i różnej karności, i aby dzieła miłosierdzia i apostolstwa, przede wszystkim należące do Akcji Katolickiej wybitniej wspomóc i uporządkować, wreszcie aby wszystkie siły katolików zjednoczyć, jak tego domagają się bezwątpienia obecne warunki.

My więc, ze wszech miar pragnąc zachować dla umiłowanych Kościołów Wschodu owe wybitne dobrodziejstwa, które z natury swej daje kompletna jedność rządu oraz jego specjalność, po głębokim namyśle i pokornych modlitwach wzniesionych do Boga, z własnej inicjatywy, z całą świadomością i z pełni apostolskiej władzy stanowimy i zarządzamy co następuje:

I. Św. Kongregacja dla Kościoła Wschodniego, której przewodniczy sam Papież, ma zupełną i wyłączną jurysdykcję w krajach następujących: w Egipcie i na półwyspie Synajskim, w Erytrei i północnej części Abisynii, w południowej Albanii, Bułgarii, na Cyprze, w Grecji, Dodekanezie, Iranie, Iraku, Libanie, Palestynie, Syrii, Transjordanii, w Turcji azjatyckiej oraz w Tracji podległej panowaniu tureckiemu.

II. W powyższych przeto krajach wspomniana Św. Kongregacja posiada w stosunku nie tylko do wiernych obrządku wschodniego, ale również łacińskiego obrządku i jego hierarchii, dzieł, instytutów, pobożnych stowarzyszeń, wszystkie te uprawnienia, które posiadają inne kongregacje w stosunku do wiernych łacińskiego obrządku na innych terytoriach, z wyjątkiem jeśli chodzi o uprawnienia Św. Kongregacji Św. Oficjum i sprawy zarezerwowane dotychczas Św. Kongregacji Sakramentów, Św. Kongregacji Obrzędów, Św. Kongregacji Seminariów i Uniwersytetów oraz Św. Penitencjarii.

III. Jeśli chodzi o wiernych wschodniego obrządku, przebywających poza wspomnianymi krajami, to kompetencja Św. Kongregacji dla Kościoła Wschodniego pozostaje nietknięta. Stąd

należą do niej wszelkiego rodzaju sprawy odnoszące się bądź do osób, bądź do karności, bądź do obrządku wschodniego, chociażby to były sprawy mieszane t. zn. dotyczące również łacinników ze względu na osoby lub przedmiot; a zatem w stosunku do tych wiernych posiada wspomniana Kongregacja wszystkie władze, które inne kongregacje posiadają w stosunku do wiernych obrządku łacińskiego, z wyjątkiem zawsze uprawnień Św. Oficjum i rezerwatów dotychczasowych Św. Kongregacji Seminariów i Uniwersytetów oraz Św. Penitencjarii.

IV. Sprawy sporne załatwia św. Kongregacja dla Kościoła Wschodniego na drodze dyscyplinarnej; jeśli zaś uzna za stosowne przekazać niektóre z nich na drogę sądową, to odda je Trybunałowi, który sama oznaczy.

V. Wyżej wspomniane kraje Wschodu chrześcijańskiego przejdą pod wyłączną jurysdykcję Św. Kongregacji stopniowo, a mianowicie a) od 1 czerwca 1938 r. Palestyna, Transjordania, Egipt, półwysep Synajski i Cypr. b) od 1 stycznia 1939 r. Grecja, Dodekanez, południowa Albania, Turcja azjatycka i Tracja turecka; c) od 1 czerwca 1939 r. Syria, Liban, Irak i Iran.

VI. Od dnia promulgacji niniejszego Motu Proprio aż do dnia, w którym poszczególne kraje przejdą pod wyłączną jurysdykcję Św. Kongregacji dla Kościoła Wschodniego, nie można powołać do życia żadnego nowego dzieła, ani żadnej dokonać zmiany bez uprzedniej zgody tejże Św. Kongregacji.

VII. Po przejściu wspomnianych krajów pod wyłączną Władzę Św. Kongregacji dla Kościoła Wschodniego, wszystkie dokumenty dotyczące tych krajów a znajdujące się w Archiwum Św. Kongregacji dla Rozkrzewienia Wiary powinny być przekazane Archiwum Św. Kongregacji dla Kościoła Wschodniego, o ile to możliwe i za wspólnym porozumieniem się kierowników obu Archiwów.

VIII — XI. Przepisy te odnoszą się do rozrachunków pieniężnych między obu Kongregacjami oraz dziełami misyjnymi papieskimi.

Motu Proprio nosi datę 25 marca 1938 r.

Akta Św. Św. Kongregacyj.

Św. Kongregacja Soboru.

Sprawa Romana et Aliarum w przedmiocie postu i wstrzemięźliwości (od pokarmów mięsnych)

Przedmiot sprawy. W ostatnich czasach niektórzy Biskupi Ordynariusze przedstawili Św. Kongregacji, że istnieją niemałe trudności w zachowaniu postu i wstrzemięźliwości w wigilię Bożego Narodzenia, bądź to na skutek weszłej w życie praktyki obchodzenia uroczystości ucztami, w ilości i jakości pokarmów zabronionymi przez prawo, już w przeddzień samego Święta, bądź to ze względu na trudy i prace jakie wierni i kapłani zmuszeni są w tym dniu ponosić. Z tego względu Biskupi ci proszą, aby obowiązek postu ustawał od południa dnia wigilijnego, jak to postanowione jest w stosunku do Wielkiej Soboty w kan. 1252 § 4 Kod. Pr. Kan.

Motywy. Przeciw dyspensie o którą się prosi zdaje się przemawiać przepis specjalny kan. 1252 § 2 ustanowiony po to, aby wierni godnie się przygotowali do obchodu tajemnicy Wcielenia Pańskiego, której uroczystość — jedna z największych w Kościele katolickim liturgicznie rozpoczyna się dopiero po zakończeniu wigilii t. zn. od północy.

Racje zaś, przytaczane za udzieleniem dyspensy, nie wydają się być oparte na trwałym fundamencie. Praktyka wprowadzona wbrew prawu winna być uważana raczej za nadużycie, dlatego też ci, którym powierzona jest piecza o dusze, winni z całej siły pracować nad tym, aby została usunięta. Nadzwyczajna zaś praca wiernych i kapłanów w przeddzień Bożego Narodzenia ma miejsce prawie w całym Kościele.

Zresztą w poszczególnych wypadkach zaradzić mogą zasady teologii moralnej o przyczynach wymawiających od postu, jak również postanowienia kan. 1245 § 1.

Ustępstwo uczynione przez kan. 1252 § 4 w stosunku do Wielkiej Soboty nie może służyć za przykład gdyż Zmartwychwstanie Pańskie jest obchodzone od południa tejże Wielkiej Soboty.

Rozstrzygnięcie. Na plenarnym posiedzeniu w dn. 13 listopada 1937 r. Ich Eminencje Ks. Ks. Kardynałowie niniejszej Św. Kongregacji na przedłożoną wątpliwość: „Czy i w jaki sposób wypadałoby udzielić dyspensy od prawa postu i wstrzemięźliwości w wigilię Bożego Narodzenia" odpowiedzieli „Negative seu non expedire, et ab mentem". Intencją zaś Kongregacji jest, aby Ordynariusze starali się odpowiednimi pouczeniami nakłonić wiernych do zachowania prawa ogólnego.

Rozstrzygnięcie to potwierdził Ojciec św. na audjencji w dn. 18 tegoż miesiąca udzielonej Sekretarzowi Św. Kongregacji.

J. Bruno, Sekretarz.

Św. Kongregacja Obrzędów.

I. Sprawa Ariminen. w przedmiocie beatyfikacji i kanonizacji sługi bożego Piusa od św. Alojzego, ze Zgromadzenia Księży Bosych Św. Krzyża i Męki Pańskiej.

Decyzja z dn. 4 stycznia 1938 r. o wyznaczeniu Komisji Wszczęcia Procesu w wypadku i w celu, o który chodzi.

II. Sprawa Matriten. w przedmiocie beatyfikacji i kanonizacji czcig. sługi bożej Marii Torres Acosta, założycielki Instytutu Sióstr Sług Marii, usługujących chorym.

Orzeczenie Ojca św. z dn. 23 stycznia 1938 r. o heroiczności cnót w wypadku i w celu, o który chodzi.

WIADOMOŚCI

Z EPISKOPATU

25-lecie sakry biskupiej JEm. Ks. Kardynała Al. Kakowskiego. — W dniu 22 z. m. upłynęło 25 lat od dnia, w którym ówczesny rektor Akademii Duchownej i arcybiskup-elekt na stolicę warszawską Ks. Aleksander Kakowski otrzymał w kościele św. Katarzyny w Petersburgu sakrę biskupią. Konsekratorem był biskup kujawski ks. Zdzitowiecki, współkonsekratorami byli Księża Biskupi Cieplak i Ruszkiewicz.

Zgodnie z wolą JEm. Ks. Kardynała Kakowskiego obchód jubileuszowy został zakreślony do skromnych ram i będzie połączony we wrześniu r. b. z otwarciem Muzeum archidiecezjalnego przy ul. Kanonia 20, ufundowanym przez duchowieństwo ku

upamiętnieniu srebrnego jubileuszu biskupiego swego Arcypasterza

W sam dzień jubileuszu 22 z. m. w archikatedrze św. Jana odbyło się na intencję Dostojnego Jubilata uroczyste nabożeństwo, po którym odśpiewano Te Deum i modlitwy za arcybiskupa. Na nabożeństwie był obecny JEm. Ks. Kardynał Al. Kakowski, JJEE. Ks. Arcybiskup Gall, Ks. Biskup Szlagowski, Kapituła Metropolitalna, przedstawiciele Kapituły Łowickiej, liczne duchowieństwo świeckie i zakonne oraz wierni. Po skończonym nabożeństwie celebrujący kanonik ks. dr. Węglewicz zwrócił się w gorących słowach do Dostojnego Jubilata składając Mu w imieniu duchowieństwa serdeczne życzenia dalszej owocnej pracy dla Kościoła i Ojczyzny.

W godzinach popołudniowych JE. Ks. Nuncjusz Apostolski arcybiskup Cortesi podejmował JEm. Ks. Kardynała Kakowskiego śniadaniem. O godz. 6 p.p. duchowieństwo archidiecezji składało Księdzu Kardynałowi życzenia w pałacu arcybiskupim.

30 lat na stolicy biskupów płockich. — W dniu 12 czerwca b. r. minęło 30 lat od chwili, gdy z woli Stolicy Św. otrzymał rządy nad diecezją płocką JE. Ks. Arcybiskup A. J. Nowowiejski. Te 30 lat na stolicy biskupów płockich — to lata odpowiedzialnej pracy pasterskiej i owocnej pracy naukowej, dzieje wielu dzieł społecznych. To 30 lat, wśród których były smutne lata niewoli, trudne czasy okupacji, szczęśliwe chwile odzyskania Niepodległości Ojczyzny i jej wzrostu oraz ostatni krzepiący okres tworzenia Akcji Katolickiej w Polsce.

Osiemdziesięcioletni Senior Episkopatu Polskiego obchodzi swój Jubileusz w ciszy swego pałacu, powracając dopiero do sił po przebytej niedawno ciężkiej chorobie.

R Ó Ż N E

WATYKAN — Podziękowanie Ojca św. za relikwie św. Andrzeja Boboli. — Generał o. Włodzimierz Ledóchowski otrzymał od kardynała Pacelliego pismo z podziękowaniem dla Towarzystwa Jezusowego za bogaty relikwiarz z relikwiami św. Andrzeja Boboli ofiarowany do Watykanu dla upamiętnienia faktu przekazania przez Ojca św. Piusa XI ciała tego Świętego Polsce. List kardynała Pacelliego wyraża uznanie dla Towarzystwa Jezusowego z powodu jego zasług przy procesie kanonizacyjnym św. Andrzeja Boboli oraz radość Ojca św., iż mógł podnieść do czci ołtarzy wielkiego Męczennika i dać w ten sposób nowy dowód swojej przychylności dla Synów św. Ignacego.

POLSKA — Zjednoczony naród u trumny Świętego. — To, co się działo w Warszawie dnia 17 czerwca 1938 r. zapisze się, jako historyczny moment

w dziejach Polski — moment jedyny, gdy w epoce przeobrażeń, jakie ludzkość przeżywa, naród, atakowany przez dwa wrogie Kościołowi światopoglądy potężnych sąsiednich państw, skupił się w sobie, rozmyślając nad największym misterium życia — triumfem świętości.

Komu danym było chwytać kolejno wydarzenia od chwili, gdy przybyły do stolicy Polski relikwie św. Andrzeja Boboli, ten łatwo mógł dostrzec, że działo się coś niezwykłego... Masy, setki tysięcy ludzi, zebranych na ulicach Warszawy, zastygły jakby w radosnym a pełnym powagi i skupienia oczekiwaniu, że oto teraz stanie się coś wielkiego, gdy święty Patron Polski, zapowiadający jej zmartwychwstanie, przybył do nas.

Na głównych arteriach stolicy, po których pochód przechodził tłumy pogrążone w uroczystym, mistycznym nastroju. Głowa przy głowie, wojsko, ludność cywilna, młodzież, cisza... Aż naraz zrywa się śpiew — wołanie: „Gaude Mater Polonia".

Rusza olbrzymia procesja po obu stronach jezdni, chylą się sztandary organizacji. Białe komże i fiolety duchowieństwa a za nimi, poprzedzając wysoki rydwan, na którym złożono Relikwie Świętego, episkopat Polski i przedstawiciele Ojca św., błyszczą złote mitry... A wreszcie purpura kardynalska. To Arcypasterz stolicy sam prowadzi ten niezwykły, jedyny w dziejach Polski kondukt.

Mocarz ducha, triumfator-męczennik wraca do swych rodzinnych stron. Sypią się kwiaty na jezdnie. Przedstawiciele wszystkich stanów ciągną rydwan. W oczach tysiącznych rzesz zaduma, ale bez smętku — bo ten pochód triumfalny z Relikwiami Świętego Orędownika zmartwychwstałej Polski wytwarza świadomość, że ta trumna wysoko na rydwanie sunącym powoli spoczywająca, w niczym nie przypomina żałoby i śmierci, lecz stanowi jakby arkę nowego przymierza Polski z Bogiem.

Bo cóż to się dzieje? Oto wojsko, stojące w szeregach długich, gdy przesuwa się rydwan z Relikwiami, klęka... Armia polska oddaje hołd swemu rodakowi bohaterskiemu, jednemu z największych żołnierzy ducha, męczennikowi za wiarę, obrońcy misji dziejowej Polski na Kresach.

Jest to moment tak wstrząsający w swej prostocie i wielkości, że umysł nie jest wprost w stanie objąć ogromu przemiany duchowej, która tu w oczach się dokonywa... Ta końcowa podróż świętych Relikwii, jednego z największych bohaterów Polski, wywołuje jakiś przedziwny wstrząs w duszy zbiorowej społeczeństwa, wstrząs głęboki choć cichy.

Widzieliśmy wszystkie stany, skupione wokoło trumny św. Andrzeja Boboli. Widzieliśmy Wodza i rząd, przedstawicieli Sejmu i Senatu, młodzież i wojsko i przedstawicieli wszelkich organizacji społecznych, gdy wraz z duchowieństwem i masami wiernych oddawali hołd Relikwiom tego, z którego imieniem

związana została idea Zmartwychwstania Polski.

Wielkie błogosławieństwo naród nasz spotyka! Zdobyliśmy nowego potężnego Orędownika. Jest to święty, heroiczny w swym apostolstwie, który działał na terenach najtrudniejszych Rzeczypospolitej, w ciszy i bez rozgłosu, w pokorze i niesłychanym zaparciu siebie — bohater spełnionego obowiązku, okupujący swój nadludzki żar miłującego bliźnich serca, straszliwym męczeństwem, — żywa pochodnia na Kresach cywilizacji Zachodniej. Krew jego strzeże rubieży Rzeczypospolitej.

I znowu triumf świętości został związany z posłannictwem Polski. Przeżywamy chwilę wyjątkową. Cały naród oczekuje jakby na wielką prawdę, na wielkie hasło, które by przeniknąć zdołało do najgłębszych zwojów duszy zbiorowej, ugruntowanej na tradycji wiekowej Polski, a które by zarazem było nawskroś nowoczesne i streścić w sobie zdołało przyszłe posłannictwo narodu.

Tą prawdą już coraz silniej wyczuwaną jest heroizm duszy chrześcijańskiej w życiu zbiorowym, wprowadzenie zasad katolicyzmu do ustroju społecznego Polski. Tę prawdę odczuwały wszystkie stany Polski i masy zebrane wokoło trumny Świętego.

Katolicy a radiofonia. — Wielokrotnie przez Ojca św. pochwalana i zalecana akcja grupowania katolików w organizacje radiosłuchaczy znajduje w całym świecie coraz większe zrozumienie i rozwija się pomyślnie. Wezwanie, by oddziaływanie radia nie pozostało obce apostolskiemu duchowi katolicyzmu i w Polsce nie przeszło bez echa. W roku zeszłym został przez władze zatwierdzony statut Związku Katolickich Radiosłuchaczy Rzeczypospolitej Polskiej (ZKR) z siedzibą Zarządu Głównego w Krakowie. Zorganizowano już i organizuje się oddziały okręgowe ZKR w Warszawie (siedziba przy ul. Miodowej 20 m. 8), Katowicach, Poznaniu, Łomży, Lwowie, Krakowie i Włocławku. Celami Związku są: 1) krzewienie radiofonii wśród jak najszerszych warstw katolików 2) troska o moralny charakter radio-słuchowisk polskich, 3) dostarczanie katolickiemu społeczeństwu audycyj religijnych i wogóle takich, które by pogłębiały i rozszerzały uświadomienie katolickie w społeczeństwie polskim.

Idea Związku opiera się na założeniu, że radiosłuchacz katolicki (nie tylko radioabonent) ma z jednej strony prawo domagać się by radiofonia polska dała mu ze siebie wszystko najlepsze, co dać może, a z drugiej — ma obowiązek osobistego przyczynienia się, aby mogła ona stanąć na wysokości swego zadania.

Zmobilizowanie katolickich radiosłuchaczy w Polsce przyczyni się niewątpliwie do pogłębienia i rozszerzenia współpracy Polskiego Radia ze społeczeństwem katolickim, co będzie bezwarunkowo z obustronną korzyścią. ZKR przez współdziałanie z Akcją Katolicką ma sze-

rokie możliwości popularyzowania radiofonii we wszystkich warstwach społecznych, z chwilą zaś gdy liczba członków ZKR odpowiednio wzrośnie, Związek będzie mógł organizować własne audycje i urzeczywistnić w szerszym zakresie katolickie postulaty programowe. Bliższych informacji udzielają: Zarząd Gł. ZKR Kraków, Kanoniczna 14 i Oddział Warszawski — W-wa, Miodowa 20 m. 8, tel. 2-15-33. Jednorazowe wpisowe — Zł. 1, składka roczna norm. Zł. 1, dla opłacających radioabonament ulgowy 50 gr.

Dodać należy, że konferencja dekanalna duchowieństwa w Bochni powzięła uchwałę, wyrażającą życzenie, by do statutu Synodu archidiecezji krakowskiej włączony został punkt wkładający na duchowieństwo obowiązek organizowania i popierania oddziałów Związku Katolickich Radiosłuchaczy, jako instytucji wysoce pożytecznej i szczególnie dziś aktualnej.

Synod Diecezjalny w Płocku. — Dnia 14 z. m. odbył się w Płocku 41 Synod Diecezjalny. Obok ogłoszenia uchwał Synodu Plenarnego 1936 r., wprowadzono zmiany do przepisów poprzedniego Synodu Diecezjalnego, który odbył się dziesięć lat temu, oraz powzięto szereg uchwał, dotyczących duchowieństwa, zasad i metod pracy w Akcji Katolickiej.

Ostatni Synod diecezji płockiej, będący drugim z kolei za rządów obecnego Ordynariusza, jest dowodem ciągłej myśli i czynnej troski o dobro diecezji niestrudzonego w swych pracach JE. Ks. Arcybiskupa A. J. Nowowiejskiego.

Po zakończeniu obrad księża uczestnicy Synodu, złożyli hołd i życzenia swemu Arcypasterzowi z okazji Jego imienin i 30-ej rocznicy rządów na stolicy biskupiej.

NOTATKI BIBLIOGRAFICZNE

M. Tarnawski: Un Eveque polonais Mgr. Joseph Bilczewski. Traduction du polonais, revue par Bernard Hamel. Paris, Librairie Lecoffre. J. Gabalda et Cie. Editeurs, 90 rue Bonaparte 1937.

W roku 1924 napisał profesor Uniwersytetu lwowskiego, ś. p. Mieczysław Tarnawski książkę p. t. „Arcybiskup Józef Bilczewski, krótki rys życia i prac". Lwów, nakł. Tow. Biblioteka Religijna. Str. 212. Książka ta ukazała się obecnie w tłumaczeniu francuskim. Tłumaczenia dokonała Maria Woźniakowska, przejrzał je zaś znany pisarz francuski Bernard Hamel.

Tłumaczenie to jest wierne i bardzo piękne. W wydaniu francuskim opuszczono kilka ustępów, które nie wzbudziłyby zainteresowania obcych.

Całość dostosowana do smaku czytelników francuskich przedstawia się nader korzystnie. Część nakładu wydrukowano na najlepszym papierze i ozdobiono 16 fotografiami, które odtwarza-

ją Józefa Bilczewskiego w różnych okresach i okolicznościach życia.

Około wydania tego dzieła zasłużył się szczególnie ks. Wilhelm Szymbor, rektor seminarium śląskiego, on bowiem przeprowadził rokowania ze znaną firmą paryską i ze wspomnianym literatem.

Ufamy, że książka tak pięknie i starannie wydana spełni swoje zadanie: wsławi za granicami Polski imię i czyny wielkiego Bojownika w służbie Kościoła i Ojczyzny.

Książki nadesłane do Redakcji.

Ks. Dr. Szczepan Sobalkowski. „Krew, która woła“. 6 przemówień na temat znaczenia kanonizacji św. Andrzeja Boboli dla Polski i każdego z nas z dołączeniem triduum ku Jego czci. Kielce 1938 r. Nakł. autora. Str. 141.

Ks. Dr. St. Mystkowski. profesor Seminarium Metropolitalnego. **Św. Andrzej Bobola, pracownik na polu zjednoczenia kościołów.** Warszawa 1938. Str. 20.

Ks. Stan. Konieczny C. M. Św. Wincenty a Paulo. Kraków, 1938. Nakł. Ks. Ks. Misjonarzy. Str. 172.

Powszechne przymierza kapłańskie przyjaciół Najśw. Serca Jezusowego. Jasna Góra, 1937. Wydawnictwo oo. Paulinów. Str. 108.

O. Ferdynand Baumann T. J. „Oto przychodzę“. Rozmyślania o Najśw. Sercu Jezusowym przeznaczone szczególnie na pierwszy piątek miesiąca.

Z oryginału niemieckiego tłumaczył ks. Tadeusz Marekowski. Mikołów 1938. Wydawnictwo Ks. Ks. Salwatorianów Str. 91.

Wincenty Danek. Z niedoli obecnej ku źródłom szczęścia. Mikołów 1938. Wydawnictwo „Salwator“. Str. 112.

Ks. A. Grabowski, salwatorianin. Pamiątka Pana. Liturgiczno-ascetyczne rozważania o Mszy św. Mikołów 1938. Wydawn. Ks. Ks. Salwatorianów. Str. 53.

O. Bernard od Matki Bożej, karmelita bosy. Życie mariańskie Karmelu. Kraków 1938. Nakł. „Głosu Karmelu“. Str. 128

Jeden dzień skupienia miesięcznego. Kraków 1938. Wydanie II. Nakładem „Głosu Karmelu“. Str. 80.

A. Z. Wolnomyślicielstwo, kominternowski koń trojański w Polsce. Warszawa 1938. Str. 32.

Ks. Henryk Weryński. „Caritas“. Warszawa 1938. Nakładem Br. Br. Albertynów. Str. 14.

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ

„Drukarnia Loretańska“ — Warszawa, ul. J. Sierakowskiego 6.